



LILIAN DARCY

**Małżeństwo
doktora Marra**

Tytuł oryginalny: The Marriage of Dr Marr



Rozdział pierwszy

Wcale się nie pałę do tego spotkania, myślał doktor Julius Marr, parkując wiśniowego saaba w wąskiej szczelinie, którą znalazł wreszcie na Hickson Road między dwiema potężnymi terenówkami. Wcale a wcale!

Wrzucił do żarłocznego parkometru tyle monet, ile się dało, i stwierdził, że będzie miał pretekst, by wyskoczyć po dwóch godzinach, chociaż Irene pewnie go tak długo nie zatrzyma.

To ona zaproponowała spotkanie w restauracji na nabrzeżu.

- Chętnie gdzieś się wyrwę - powiedziała mu przez telefon. - Żeby odetchnąć... przewietrzyć głowę.

Przyjął zaproszenie, choć może nie powinien. Stanowczo wołał ograniczyć ich kontakty do spraw zawodowych, chociaż niegdyś długi i wytworny lunch z Irene uskrzydliłby go na resztę dnia. Krocząc po olbrzymich dechach nabrzeża przyjmującego dawniej statki uznał, że to wspaniała sceneria i wspaniały dzień.

Na początku marca w Sydney zaczynała się właściwie jesień, ale słońce nadal mocno przypiekało, toteż lunch będzie mógł zjeść z Irene na tarasie. Woda będzie migotała wokół, szemrała im dosłownie pod nogami, pieniała się wokół solidnych bali przystani. Irene z pewnością tu „odetchnie”. Bo, jak pomyślał ze skrucą, czyż nie ma powodu czuć się napięta, przyciśnięta do muru? Dobrze, że przynajmniej jest

świadoma stresu i szuka wyjścia. Z pewnymi oporami poczuł przypływ nieklamanej troski.

Na miejscu przekonał się, że jeszcze nie przyszła. Sam trochę się spóźnił, tak jak nigdy, przez te kłopoty z parkowaniem, na początek więc szykował przeprosiny, a teraz zwrócił się do ulizanego, młodego kelnera przy wejściu:

- Jestem umówiony z pewną panią, ale jej nie widzę. Chciałbym sprawdzić, czy zrobiła rezerwację. Irene... - Zawałał się. Jakim nazwiskiem się teraz posługuje? Wspomniała, że chętnie wróciłaby do panińskiego, chociaż rozwód potrwa jeszcze co najmniej kilka miesięcy. Zerknął do książki rezerwacji i dokończył pewnym tonem: - Irene Monaghan.

Czyli jednak zmieniła! Nie przypadło mu to do gustu.

- Jest - potwierdził kelner. - Proszę bardzo. O tutaj. Na pierwszą. A jest dopiero dziesięć po.

- Więc pewnie ma takie same kłopoty z parkowaniem jak ja - powiedział Julius z uśmiechem.

- Zaprowadzę pana do stolika - zaproponował kelner.

- Bardzo proszę. Pewnie zaraz się zjawi.

I rzeczywiście. Niepunktualność nigdy nie należała do jej wad. Ledwie usiadł na tarasie, tyłem do oceanu, gdy zobaczył ją na nabrzeżu. Biegła trochę chwiejnym krokiem z powodu butów na szpilkach, jej jasne, rozwiane włosy przypominały kształtem dzwon. Wydało mu się, że troszeczkę przytyła. Kiedy się ostatnio widzieli? Pod koniec stycznia? Chyba minęło już pięć tygodni, chociaż w tym czasie często rozmawiali przez telefon i kontaktowali się przez e-mail.

- Przepraszam - powiedziała zdyszana, po czym rzuciła ciężką teczkę na stół, zawahała się chwilę i nachyliła, by cmoknąć go w usta. Poczuł delikatne muśnięcie jej języka.

Zaskoczony, odwzajemnił niezdarnie pocałunek i zamrugał, kiedy odsunęła się i usiadła. Wydało mu się, że się za-

czerwieniła. Wyjął okulary w rogowych oprawkach, służące mu do czytania, i przyjrzał jej się uważniej, wkładając je na nos. Tak, zdecydowanie jest rozgorączkowana. Może speszona. A może ciut wyzywająca.

- Jak wiesz, mamy sporo do omówienia - rzuciła, chyba trochę nazbyt pośpiesznie. - Może więc od razu coś zamówimy, i bierzmy się do dzieła.

Skończyli dopiero wtedy, kiedy lunch dobiegł końca, a później wypili jeszcze dwie kawy. Ukradkowe spojrzenie na zegarek przypomniało Juliusowi, że grozi mu mandat, jeśli nie wyjdzie w ciągu pięciu minut. Właśnie miał jej to powiedzieć, gdy podszedł kelner, wezwany gestem przez Irene, która znów jakby trochę wyzywająco poprosiła o jeszcze jeden kieliszek białego wina.

Nie była to najbardziej odpowiednia chwila, by przeprosić i wyjść. Zrobił w głowie przegląd zajęć na resztę dnia. Specjalnie nie umawiał się na popołudnie, lecz miał nadzieję, że zdąży wpaść do gabinetu, w którym zostawił straszny bałagan, a ponadto czekało go kilka wizyt domowych. Żadna nie była absolutnie nieodzowna, ale wszystkie w jego mniemaniu należały do obowiązków lekarza rodzinnego. Stary Ron Daley miał nieuleczalny nowotwór prostaty, Sally Kitchin była uwięziona w domu przy dopiero co narodzonych trojaczkach, a matka Stephanie Reid zmarła dwa miesiące temu na raka.

Kiedy już uporali się z ważnymi sprawami, Irene najwyraźniej chciała porozmawiać.

- Powiedz mi, Julius, co u ciebie? - zapytała, wpatrując się w niego zielonymi oczami. - Ale szczerze! Tyle się przecież zmieniło...

- Wszystko dobrze - odparł zgodnie z prawdą. - Nawet bardzo. Nie narzekam.

Ani przez chwilę nie żałował poważnych zmian, które poczynił w ciągu ostatnich dwóch lat. Od razu jednak się zorientował, że nie takiej odpowiedzi Irene się spodziewała. Szybko więc uciął jej ewentualne dalsze pytania.

- Ale co tam u mnie! Powiedz, co u ciebie?

Opowiedziała mu ze szczegółami, z przejęciem, popijając dużymi haustami wino, a on, mimo prawdziwej troski, słuchał z roztargnieniem. Po pierwsze, wszystko to słyszał już wiele razy. A co ważniejsze, nie wiedział, bo nie mówiła tego wprost, czego od niego naprawdę chciała. Żeby jej wysłuchał? Czy wykonał jakiś krok?

Gdy skończyła, a on udzielił jej właściwych w jego mniemaniu odpowiedzi, zapadła niezręczna cisza. Słyszał dosłownie tykanie zegarka, a oczyma duszy widział, jak srogi funkcjonariusz w mundurze nieuchronnie podchodzi do jego niewinnego, niczego nie podejrzewającego pojazdu.

- Poprosić o rachunek? - spytał w końcu i uzyskał jej aprobatę.

Znów zapadła cisza, więc zadał pytanie, które powinien był chyba zadać na początku:

- Jak tam dzieci?

Minęło kolejne pół godziny, zanim wreszcie wyszli z restauracji. Z daleka dojrzał żółtą kopertę zatkniętą za wycieraczkę i od razu domyślił się, co zawiera. Irene złapała taksówkę i ruszyła do Chatswood, toteż nie dowiedziała się, że za jej zwierzenia zapłacił słony mandat. Zresztą w głębi serca nie żałował tych trzech godzin. Przecież przez czternaście lat był związany z Irene, i dlatego w tak drobnej sprawie nie chciał jej sprawić zawodu.

Ten przedłużony lunch wymusił na nim jednak pewien wybór. Czy posprzątać straszliwie zawałone biurko, które codziennie rano witało go z takim wyrzutem w jego gabine-

cie w ośrodku w Southshore, czy raczej odwiedzić swych trzech pacjentów?

Pięć lat temu rozstrzygnąłby taki dylemat bez trudu. Bezapelacyjnie wygrałoby biurko. Dzisiaj wybór też był właściwie przesądzony z góry. Ruszył do pacjentów.

- James ma pleśniawkę - zwrócił się do Sally Kitchin, przekrzykując płacz dzieci i perkotanie ziemniaków na ogniu. - Obejrzą pozostałą dwójkę.

Wziął na ręce płaczącego Nicholasa i drewnianą szpatułką zbadał mu delikatnie gardło. On też miał nieregularne białe naloty na języku i na wewnętrznej stronie policzków. Amelia spała, ale i jej zdołał jakoś zajrzeć do buzi.

- Dam pani kilka recept - powiedział - bo przy trójce dzieci sporo pani tego potrzebuje. To lekarstwo przypomina żółtą farbę. Smaruje się tylko chore miejsca. Na razie chłopcy mają czyste pupy, więc nie trzeba nic tam robić. A z Amelią proszę się pokazać, gdyby wystąpiła jakaś wysypka albo zaczerwienienie. I proszę smarować sobie także brodawki sutkowe przed każdym karmieniem i po nim.

- Tego mi jeszcze brakowało! - jęknęła Sally. - Żeby malować sobie piersi na żółto!

Julius roześmiał się, lecz wiedział, że nawet takie drobne uciążliwości mogą przepełnić miarę w przypadku dwudziestosiemioletniej świeżo upieczonej mamy borykającej się z trojaczkami. Tym bardziej że jej mąż akurat wyjechał. Dobrze, że Sally była z natury pogodna i że tak bardzo pragnęła tych dzieci.

Urodziły się wskutek ostrej terapii farmakologicznej na bezpłodność, której Sally poddawała się przez ponad rok przed poczęciem. Czasem te środki aż nadto wspomagają jajczkowanie...

Teraz zaś pierwsze tygodnie przypominały drogę przez mękę.

- Pani mama wróciła do Adelaide, prawda? - spytał, usiłując lepiej zorientować się w sytuacji.

- Tak, dziś rano. Wiedziałam, że nie zostanie wiecznie. Wyrwała się z pracy tylko na trzy tygodnie. Ale nadal jest mi ciężko! Michael wraca z Nowej Zelandii dopiero za miesiąc.

Głos jej się załamał. Ocierała łzy wierzchem dłoni, próbując się uśmiechnąć.

- Pracuje na awans - wyjaśniła rzeczowo. - Dlatego musiał wyjechać. No i dobrze. Bo skoro ja nie pracuję, to przy trojczkach przyda się każdy cent. Ale... bardzo mi go brak.

- Wiem, jak pani jest ciężko. I z mężem nie byłoby lekko.

- To prawda - przyznała Sally.

- Czy przysłać pani pielęgniarkę środowiskową? - zapytał Julius, wyjmując z torby odpowiednią ulotkę. - Takie siostry miewają znakomite pomysły, jak uregulować sen niemowlaków i tym podobne. Mogą też panią skontaktować z innymi grupami wsparcia.

- Z grupami wsparcia? A jak ja miałabym niby wyjść z domu na takie spotkanie? - Roześmiała się. - Nie, mam własną grupę wsparcia. Znajomi dyżurują u mnie po kilka godzin dziennie.

- I to wystarczy?

- Ale skąd! - Skrzywiła się. - Przepraszam, ależ jestem niewdzięczna! Tak długo walczyliśmy z bezpłodnością, toteż troje dzieci naraz zakrawało na cud. No i jest cudem! Kocham je, tyle że padam z nóg!

- Będzie lepiej. Tylko to mogę pani obiecać - powiedział sfrustrowany, że nie może jej bardziej pomóc. - Proszę spróbować wezwać pielęgniarkę i jak najszybciej zacząć leczyć pleśniawki. I niech pani nie wymaga od siebie zbyt wiele.

Proszę machnąć ręką na stan łazienki i pamiętać, że nie doszła pani jeszcze do siebie po porodzie. Po sześciu tygodniach, bo wtedy zapraszam na pierwszą wizytę kontrolną, poczuje się pani trochę lepiej.

- Dziękuję, panie doktorze, że pan wpadł. Może pan się czegoś napije?

- Serdecznie dziękuję, ale nie będę robił kłopotu.

Podobną propozycję odrzucił u Rona Daleya. Minęło w pół do szóstej, a chciał jeszcze dotrzeć do Stephanie Reid o przyzwoitej porze. Mógł wprawdzie odłożyć tę wizytę na następny dzień, ale już przekładał ją od kilku tygodni. Uznał, że czas najwyższy się pokazać. W ośrodku brakowało jednej recepcjonistki i dlatego w zeszłym tygodniu dwa razy nie spełniono jego życzeń co do przerw między wizytami u pacjentów.

Nie, postanowił, musi wstąpić dzisiaj do Stephanie. Mieszka bardzo blisko Sally. W samochodzie, kiedy zajął do planu miasta, przekonał się, że to dosłownie na sąsiedniej ulicy. Ogród za domem Stephanie styka się chyba z ogrodem Sally.

Pokonując ten krótki odcinek drogi, usiłował sobie przypomnieć datę pogrzebu matki Stephanie. Kiedy ją widział ostatnio? Pamiętał, że był wtedy piątek. W połowie stycznia? Piętnastego? Chyba tak. Dziś też był piątek, piątego marca. Minęło siedem tygodni, odkąd ta drobna, kasztanowo włosą kobieta zaśpiewała tak pięknie w kościele na pogrzebie własnej matki, i to pieśni, do których sama napisała słowa i muzykę.

Przez ten rok znajomości widywał Stephanie w różnych stanach emocjonalnych. Śmiech, strach, frustracja i łzy - wszystko to najwyraźniej skryształizowało się w jej śpiewie. Był ciekaw, jaką ją zastać dzisiaj...

Jednego nie przewidział - że może jej w ogóle nie zastać. Gdy więc na próżno naciskał dzwonek, stojąc na ganku śli-

cznego domku z czerwonym dachem, nieoczekiwanie doznał zawodu. Zaszło mu w ustach, kark zeszywniał, on sam zateęsknił za ciepłem i spokojem zapamiętanym z domu Stephanie. Przeszły mu koło nosa i herbata, i ta jej łagodność!

Do diabła, starzeję się, pomyślał, raptem zły na siebie. A przecież mam dopiero czterdzieści dwa lata! Niemożliwe, żeby taki niezaplanowany drobiazg miał zrujnować mi resztę dnia! Mimo to z uczuciem rozczarowania zszedł z ganku wykładanego terakotą i ruszył smętnie w stronę furtki.

Stevie, która wracała z ogrodu za domem z naręczem świeżo ściętych róż, na dźwięk dzwonka rzuciła się do drzwi.

Nie było tam nikogo.

Zaraz, zaraz. Ścieżką przed domem oddalał się wysoki, elegancko ubrany mężczyzna o znajomej sylwetce. Z tyłu nie umiała poznać, kto to, ale z pewnością to on przed chwilą dobijał się do jej domu.

- Halo! - zawołała za nim donośnym głosem śpiewaczki. Gdy się odwrócił, poznała go. - A, to pan!

- A więc jest pani w domu - rzekł doktor Marr, zawracając.

Wyczuła w jego głosie nutę przygany. Wytłumaczyła się, wskazując na róże:

- Byłam w ogrodzie. Długo pan dzwonił?

- Nie tak długo - odparł pojednawczo, acz nieco zrzędliwie. Wyraźnie coś go gryzło.

No, no, ci lekarze muszą być naprawdę zajęci, skoro niecierpliwą się po chwili czekania pod drzwiami, pomyślała. Ale nie miała mu tego za złe. Ten człowiek okazał tyle serca, tyle dobroci jej mamie, odkąd zjawił się przed rokiem w Southshore. Pamiętała, że poświęcał jej w gabinecie tyle czasu, ile było trzeba, czasem dzwonił znienacka z własną

propozycją lub pytaniem, często tłumacząc się: „Właśnie przeczytałem coś na temat...”

Szybko się przekonała, że jego myślenie o jej mamie nie ograniczało się do kilku minut przed wizytą i po niej. A w styczniu, przez te dwa koszmarnie tygodnie między diagnozą nieuleczalnego raka a śmiercią mamy, dużo jej pomógł. Jeżeli okazuje tyle zrozumienia wszystkim pacjentom, to owszem, każda minuta jego czasu jest bezcenna.

- Proszę - zaprosiła go serdecznie.

Pięknie wyglądał tam przy furtce! Taki lekarz natychmiast budzi zaufanie. Brunet o żywej, inteligentnej twarzy i świetnym guście. Miał dziś na sobie elegancką szaro-brązową koszulę i nieco ciemniejsze spodnie. Mama nieraz kompletowała nienaganny strój doktora Marra, a Stevie cieszyła się, że mimo wszystko potrafi czerpać przyjemność z takich drobiazków. Głupio czuć wdzięczność do lekarza za elegancki strój, ale ją właśnie czuła.

- Napije się pan kawy, herbaty, a może czegoś mocniejszego?

Zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek. Stevie natychmiast zastanowiła się, czy aby nie przesadza. Co też ją podkusiło? Coś jakby wisiało w powietrzu...

- Pewno się pan śpieszy, pewno nie ma pan czasu, - podsunęła mu wymówkę, której wcale nie podchwycił.

- Przeciwnie - odparł; - Nie śpieszę się. I chętnie się napiję.

- Tylko wstawię różę - rzekła, zawracając ku domowi.

- Są piękne.

- To zasługa mamy, podobnie jak cały ogród. Niby jej pomagałam, ale wszystko było jej dziełem. Dopiero teraz okaże się, czy mam do tego smykałkę.

Weszła do domu. Julius za nią. Do kuchni wpadały jeszcze

promienie słońca, mimo że okna były od północy. Obecność doktora Marra speszyła ją jak nigdy przedtem. Chyba dlatego, że nie przyszedł dziś do mamy. Nie mogli więc rozmawiać o jej zdrowiu. I zabrakło mamy, która zawsze podtrzymywała rozmowę. Jak gdyby grała rolę naszej przyzwoitki, pomyślała.

Stevie była nieprzyzwoicie zdrowa. Co roku dreptała grzecznie do ośrodka zdrowia na cytologię, ale nie chciała zawracać głowy lekarzowi rodzinnemu takim drobiazgiem. Nawet nie pamiętała, kiedy była na tyle chora, by wzywać lekarza. Toteż nigdy nie była pacjentką Juliusa Marra.

Wciąż trzymając na ręku róże, które pomagały jej ukryć nagle zakłopotanie, sięgnęła po szklany wazon stojący na występie nad starym piecem kuchennym, żeby się z tym jak najprędzej uporać. Doktor Marr nie powinien tak stać w oczekiwaniu na drinka. Pewnie przyjął jej propozycję jedynie z uprzejmości. Wiedziała, że przyszedł tu z obowiązku, by sprawdzić, czy córka jego zmarłej pacjentki jakoś się trzyma. Ponieważ tak było w istocie, chętnie go o tym zapewni.

Myśląc o tym, a nie o różach, wetknęła je szybko do wazonu. Tę chwilę nieuwagi opłaciła zadrapaniem ostrym kolcem między lewym kciukiem a palcem wskazującym. Zapiekło. Aż syknęła. Na jasnej dłoni zebrała się krew.

- Co też pani zrobiła? - spytał, biorąc ją za rękę i patrząc na czerwone krople.

Miał ciepłe, suche palce, miły dotyk. Czuła, jak po ręce rozlewa jej się uczucie gorąca, zupełnie nie związane ze świeżym skaleczeniem. Coś podobnego! Co on by sobie pomyślał, gdyby się dowiedział?

- Ale ze mnie gapa - powiedziała i wyrwała mu dłoni. Wzięła wazon i zaniósła do zlewu, żeby nalać wody. - To nic takiego.

- Proszę to przynajmniej przemyć.

Gdy posłusznie podstawiła rękę pod kran, dodał:

- A jak tam ze szczepionką przeciwțęzcową?

Roześmiała się.

- Szczepiłam się wieki temu. Minęło chyba już ze dwadzieścia lat. Ale nie myśli pan serio...

- Od czystego kolca nic pani nie grozi - przyznał - ale jeśli chce się pani zajmować ogrodem, proszę się zaszczepić.

- Naprawdę? - Trocheja to zdziwiło.

- Nie pamięta pani, że w zeszłym roku dokładnie z tego samego powodu zaszczepiłem pani matkę?

- Przepraszam...

- Teżec żyje w ziemi. Proszę zadzwonić w przyszłym tygodniu i umówić się na szczepienie.

- Dobrze. Dziękuję.

- Przepraszam. Nie zamierzałem robić pani wykładu.

- Wcale tego tak nie traktuję.

- To dobrze. - Uśmiechnął się i znów ją to speszyło.

- No więc... - wybąkała.

Dlaczego zachowuje się tak niezdarnie? I jest tak zbita z tropu? No i co wypada zaproponować lekarzowi? W pierwszej chwili pomyślała o sherry, ale zaraz skojarzyło jej się to z leciwymi wiktoriańskimi starymi pannami z powieści Agathy Christie i z czasami, w których lekarze jeździli do pacjentów bentleyami, a całą wiedzę medyczną Zachodu nosili w czarnych skórzanych torbach. Pewnie uznałby ją za osobę z gruntu staroświecką. Nie, wszystko tylko nie sherry!

- Może piwa? - spytała z silnym podejrzeniem, że nie ma go w domu. - Wina? Dżinu z tonikiem?

- Chętnie wypiję dżin z tonikiem.

- Usiądziemy w ogrodzie?

Pięknie tam było - biały stół i krzesła z kutego żelaza

stojące wśród róż, lawendy i hortensji, półtropikalnych hibiskusów i bugenwilli oraz typowo australijskich skrzypów, ruty i eukaliptusów. Nie wszystkie jeszcze kwitły, lecz ogród tonął w zieleni.

Gdy już oboje przyznali, jak tam jest miło i jak to dobrze, że mama niemal do ostatka co najmniej godzinę dziennie zajmowała się ogrodem z pomocą córki i profesjonalnego ogrodnika, Stevie nie mogła wymyślić, co powiedzieć. Odkryła, że taka chwila milczenia w towarzystwie mężczyzny, którego się dobrze nie zna, może się bardzo dłużyć.

Wbiła wzrok w szklanę, zahipnotyzowana bąbelkami wzbijającymi się do góry w przejrzystym płynie, a potem wzięła duży haust, pewna, że alkohol pozwoli jej się nareszcie odprężyć.

W końcu lekarz założył nogę na nogę i odezwał się:

- Czy przypadkiem pani ogród nie przylega do ogrodu Sally i Michaela Kitchinów?

- O, to pan zna Kitchinów?

- Sally jest moją pacjentką. A teraz doszły mi trojaczki.

- Jeszcze ich nie poznałam, choć już o nich słyszałam.

Tak, nasze ogrody stykają się w rogu. Nie mamy wprawdzie wspólnego płotu, ale rozmawiamy przy wieszaniu prania. Miałam kilka wiadomości o dzieciach od mamy Sally, która codziennie prała pieluchy.

- Ale niestety dziś rano wróciła do Adelaide.

- Muszę Sally zaoferować pomoc.

Powiedziała to tak po prostu. Sączyła drinka, oparta swobodnie na krześle. Patrząc na nią, można by odnieść wrażenie, że pije najpyszniejszy napój pod słońcem, a jej ogród przypomina raj. Do Juliusa zaczęło docierać, że ta kobieta wszystko tak odbiera - żyje pełnią życia.

Ale przypomniał sobie oficjalny cel wizyty - chciał poznać sytuację osieroconej osoby.

- Jakie pani ma plany? - zapytał szybko.

- Proszę mi mówić Stevie, tak jak dawniej - rzuciła, lecz nie odpowiedziała na jego pytanie.

- No więc Stevie - poprawił się, uprzytamniając sobie, że nadal tak ją nazywa w duchu.

- Rozumiem, że pyta pan o plany na życie... - roześmiała się nerwowo - a nie na dzisiejszy wieczór?

- Tak, o życie - odparł, w pełni świadom, że balansuje na krawędzi nietaktowności.

- I po to pan tu przyszedł? - Och, co za idiotyczne pytanie. Stevie aż zawyla w duchu. - Doceniam pańską fatygę - dodała nieco ostrożniej. Żeby jeszcze tak się przy tym nie rumieniała! - Powoli się oswajam z sytuacją. Postanowiłam tu zostać, bo to teraz mój dom. Będę śpiewała z „Lizzy przy garach”, bo to uwielbiam, ale ponieważ jako zespół amatorski mało zarabiamy, muszę poszukać sobie pracy. Renta po tacie skończyła się ze śmiercią mamy, a mój adwokat twierdzi... Ale co pana właściwie mogą obchodzić moje sprawy finansowe.

- Jakiej pracy? - spytał.

Stevie rozłożyła ręce i uśmiechnęła się, zadowolona, że jej przerwał.

- Nie mam zbyt imponujących dokonań na swoim koncie! Przez rok pracowałam jako pielęgniarka, ale to było piętnaście lat temu. Musiałam odejść... z powodów osobistych. Potem u mamy rozpoznano stwardnienie rozsiane i zaczęłam pracować dorywczo jako sekretarka, bo zmienne godziny pracy oznaczały, że mogę czuć przy niej w trudniejszych okresach. Kiedy stan mamy się pogorszył, pracowałam jako wolontariuszka w fundacjach dobroczynnych, przyjmo-

wałam zlecenia na telefon, prowadziłam księgowość i zbierałam fundusze. Mniej więcej pięć lat temu rzuciłam pracę. Mam nadzieję, że nie wyszłam zbyt z wprawy. W razie potrzeby poświęcę kilka miesięcy na naukę obsługi komputera. Mam trochę oszczędności, które pozwolą mi przetrwać do przyszłego roku.

Och, zlituj się, Stevie! Przestań tak nawijać!

- I nie boi się pani tej niepewności? - Zabrakło mu odwagi, żeby zwrócić się do niej po imieniu.

Ona zaś mimo wszystko starała się zarysować swą przyszłość w różowych barwach, dlatego powiedziała:

- Dla mnie mniej się liczy, co robię, a bardziej jak to robię. Śpiewanie i pisanie piosenek daje mi mnóstwo satysfakcji twórczej, której nie muszę czerpać z pracy. Chciałabym znaleźć zajęcie wśród ludzi. Nie unikam ciężkiej roboty. Chyba też poradziłabym sobie ze stresem i z dyscypliną.

Jeżeli zaraz nie przestanę, to wypadnę, jakbym była na rozmowie w sprawie pracy.

- W takim razie nie powinna pani mieć kłopotów - podsumował. - Nawet w obecnych czasach. Osoba tak dojrzała, zrównoważona, wykształcona, elokwentna, pełna zapału...

- Urwał, po czym wyraził jej myśl na głos, tyle że ujętą w komicznej formie. - Dlatego Agencja Zatrudnienia Juliusa Marra chętnie wciągnie panią do rejestru naszych klientów.

Roześmiała się!

- A jaką bierze pan marzę?

- Piętnaście procent od dochodów aż do końca życia

- odparł bez zastanowienia. - Umowa na pół roku, z możliwością przedłużenia wedle mojego uznania.

- Jeszcze się rozejrzę - odrzekła tym samym tonem. -

Coś mi się zdaje, że gdzie indziej dostanę lepsze warunki.

- Hm... Może dlatego nie mam zbyt wielu klientów.

Stevie ponownie się roześmiała i zapadło milczenie, które wlokło się w nieskończoność. Spodobał jej się ten żart, a w połączeniu z drinkiem rozprężył ją, może nawet aż za bardzo. Spojrzała ukradkiem na lekarza -jakby świeżym okiem.

Na przykład, dotąd nie zauważyła, że jest taki... no, może nie tyle przystojny, co... ma prezencję. Jest wysoki, dobrze zbudowany, świetnie ubrany, pewny siebie i inteligentny. Zawsze myślała o nim jako o lekarzu mamy, który zastąpił w ośrodku doktora Crane'a.

Nigdy nie musiała się zastanawiać, co powiedzieć, bo zawsze zdrowie mamy nastęczało tematów do rozmów. Nigdy też nie zastanawiała się nad jego życiem osobistym, bo traktowała go raczej jak kopalnię wiedzy medycznej. Teraz zaś zżerała ją ciekawość. Co robił przed przyjazdem do Southshore? Czy lubi swój zawód? Czym jeszcze zajmuje się w życiu? Czy ma rodzinę w Sydney? Czy jest żonaty? Nigdy nie mówił o sobie, ale też pewno dlatego, że ona nigdy nie wykazała zainteresowania.

Sporo pytań cisnęło jej się na usta, ale nie czuła się na tyle pewnie, by je zadać. Mógłby uznać to za wścibstwo i nietakt z jej strony. Nie miała do tego prawa.

Pewnie już nieraz zetknął się z samotnymi pacjentkami, które zanadto się spoufalaly. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby zaliczył ją do tej kategorii. Ale, na Boga, co powiedzieć? Straszna sytuacja... Dla niego pewnie też, bo wypił nieprzyzwyczajenie szybko trunka i wstał. Ona też natychmiast się pode-rwała, choćby dlatego, że jego wzrost nie pozwalał jej rozmawiać z nim swobodnie na siedząco.

Zastanawiała się, czy nie zaproponować mu kolejnego drinka, by się zrehabilitować, ale wyraźnie już wyczerpali wszystkie bezpieczne tematy. Dalsze milczenie mogłoby być kłopotliwe.

Zmieszany odstawił szklanę na stół.

- Wezmę - zaoferowała się pośpiesznie i ich palce się zetknęły. Znów poczuła dziwne gorąco, cofnęła więc prędko dłoń. Miał piękne, silne ręce i czyste, równo obcięte paznokcie, jak przystało na lekarza.

Kiedy zaczęli odsuwać się od stołu, pojęła, że to ona powinna teraz przejąć inicjatywę i zakończyć tę skądinąd miłą scenę. Wyrzucała sobie w duchu, że straciła jedyną w swoim rodzaju okazję na...

No właśnie, na co? Nawet tego nie wiedziała. Możliwe, że już nigdy tego człowieka nie spotka. I wtedy się zreflektowała.

- Bardzo dziękuję za wspaniałą opiekę nad mamą - rzekła poważnie. - Nie pamiętam, czy już panu dziękowałam. A powinnam była to zrobić wiele miesięcy temu.

- Nie po to tu przyszedłem - odparł. - Chciałem się dowiedzieć, jak się pani żyje.

- Wiem - przyznała szczerze. - Ale trudno mi jakoś za to dziękować, no więc dziękuję za mamę.

- Przecież przed chwilą mi pani za nią dziękowała.

- Rzeczywiście. W takim razie powiem to oficjalnie.

Bardzo jestem panu wdzięczna, panie doktorze, za okazanie mi troski.

Zawahał się, a po chwili odpowiedział:

- To mój obowiązek.

Miała wątpliwości, czy każdy lekarz z ich ośrodka mógłby się pochwalić podobną troską, ale nie wyraziła ich na głos. Odprowadziła go do drzwi kuchennych, a chcąc przerwać niezręczne milczenie, dodała:

- Bliżej panu będzie wyjść boczną furtką.

Stojąc na ganku, patrzyła w ślad za nim. Złożył jej krótką wizytę, był miły i swobodny. Ale chociaż przed jego przy-

jazdem była w dość dobrym nastroju, teraz poczuła się jak przekłuty balon. To uczucie nie odstępowało jej przez większość weekendu, a rozpacz z powodu utraty mamy, która przedtem wstąpiła już w spokojną fazę, znów się nasiliła i wcale nie rozproszyła jej sobotnia zabawa kościelna, do której przygrywała „Lizy przy garach”.

Żadna z pięciu członkiń ich kapeli nie mieszkała sama. Trzy były mężatkami, a jedna rozwódką z nastoletnimi dziećmi.

Jestem sama, rozmyślała Stevie. Najwyższy czas zakręcić się za pracą!

Najwyższy czas zrobić coś z tym biurkiem! - pomyślał, kiedy wstąpił na chwilę do ośrodka po jakieś papiery. Nie znajdowały się one na szczęście w biurku, bo długo by ich szukał. Porwał je z półki, ale jeden rzut oka na zavalony mebel utwierdził go w tym przekonaniu.

Cóż za bałagan! Druga szuflada była tak przeładowana, że się nie domykała. A na blacie piętrzył się stos papierzysk. No to może zabrać się do tego teraz? Nie!

Znów miał podły nastrój - jeszcze podlejszy niż wtedy, kiedy zdawało mu się, że odejdzie od drzwi Stephanie Reid z kwitkiem. Ale teraz trudniej mu było znaleźć powód. Kiedy sprawdził, czy zgasił wszystkie światła i zostawił budynek w porządku, zrozumiał, że znowu przeżył zawód.

Tym razem zawiódł się na Stephanie. A może jednak na sobie.

Dawniej było mu tak łatwo z nią rozmawiać. Lubił ją, podziwiał i nie musiał się z tym kryć. Każdy lekarz podziwiałby osobę, która tak wspaniale opiekuje się chorą matką. Widział, że ta kobieta, nie uważając tego za żadne poświęcenie, dokłada wszelkich starań, by matka nadal cieszyła się

ulubionymi zajęciami w miarę swych coraz bardziej ograniczonych możliwości i żeby nawet w tej sytuacji czerpała radość z życia. I nigdy wcześniej nie zapominał przy Stevie języka w gębie.

A dzisiaj coś się zepsuło. Skończyła się ich swoboda wobec siebie. Zrozumiał, że dalsze spotkania są bezcelowe.

Ogarnął go dziwny żal, który nie mijał, choć miał sporo innych spraw na głowie. Po prostu nie mógł przestać o niej myśleć...

RS

Rozdział drugi

Piętnaście zakreślonych ogłoszeń o pracy, dwanaście odbytych rozmów telefonicznych, trzy kontakty w sprawie skróconych kursów komputerowych, Usta sześciu kolejnych telefonów, żeby zbadać inne możliwości...

W poniedziałek, w pół do jedenastej, Stevie zaparzyła sobie kawę i marzyła o chwili spokoju, gdy zadzwonił telefon. Może to jakaś propozycja pracy?

Ależ skąd. Dzwonił doktor Marr, o którym przez cały weekend myślała z zażenowaniem. Przez telefon miał jeszcze miłszy głos, niski i gardłowy, ale ona, skonfundowana, wypaliła przeproszając:

- Głupio mi, panie doktorze, ale jeszcze nie zdążyłam się zapisać na szczepienie.

Nie pomyślała, że lekarz nie dzwoniłby z takim głupstwem.

- Słucham? - spytał z roztargnieniem. - A! Tężec! Zapraszam. Ale ja dzwonię w innej sprawie...

- To oczywiście...

- Przyszło mi do głowy, że powinna się pani starać u nas o posadę recepcjonistki.

Stevie z początku się przeraziła, kiedy usłyszała, na czym ta praca polega. Już miała powiedzieć, że się nie nadaje, bo nie ma odpowiednich strojów, kiedy uprzytomniła sobie, że to się kłóci z jej wcześniejszym zapewnieniem o radzeniu sobie z trudnościami. Skupiła się na słowach lekarza.

- Czy mogłaby pani teraz do nas wpaść? Zasiadam w komisji kwalifikacyjnej, a szczerze mówiąc, dotąd żadna kandydatka nas nie zachwyciła. Dwie, które najbardziej przypadły nam do gustu, mogą zacząć dopiero za kilka tygodni. Myślałem o pani przez cały weekend i wyrzucałem sobie, że nie przyszło mi to do głowy od razu w piątek.

- Mogę zaraz przyjechać - odparła zdecydowanym tonem, przemilczawszy sprawę stroju. Nagle straszliwie zapragnęła dostać tę pracę. I nawet nie zastanawiała się, dlaczego.

- Mielśmy nadzieję skończyć nabór przed lunchem - powiedział - a za kwadrans dwunasta mamy przerwę...

- No to do zobaczenia - rzekła wesoło i odłożyła słuchawkę.

Sęk w tym, że naprawdę nie miała ciuchów! Bezpretensjonalna szara sukienka, którą miała na pogrzebie matki, wywoływała zbyt wiele wspomnień. Kowbojskie stroje, w których występowała z zespołem „Lizzy przy garach”, były wprawdzie czyste i ładne, ale nie mogła przecież włożyć satynowej koszuli z frędzlami, nabijanych ćwiekami dzinsów ani wytłaczanych kowbojskich botków ze skóry na rozmowę w sprawie pracy, nawet jeśli w komisji zasiadał ktoś znajomy.

Miała też dwie proste, eleganckie jedwabne sukienki na wieczór, ciemnozieloną i czarną, ale nagie ramiona i małe rozcięcie jeszcze mniej pasowały niż frędzle i ćwieki.

Z obłędem w oku włożyła do jednej teczki referencje z dawnych miejsc pracy, dyplom z kursu maszynopisania, kopie świadectw z egzaminów, zaświadczenie o roku pracy w zawodzie pielęgniarki i oczywiście metrykę urodzenia, po czym wybiegła na dwór w szortach i w koszulce, lekko umalowana, wrzuciwszy do torby rajstopy i czarne pantofle na

obcasach. Kilka przecznic od ośrodka znajdował się butik z ubraniami...

- Czy dostanę kostiumy w małym rozmiarze? - rzuciła zdyszana ekspedientce.

- Owszem, mamy kilka.

- Mogłabym przymierzyć?

- Wszystkie? Nawet nie obejrzy pani na wieszaku?

- Bardzo się śpieszę...

Dotarła do ośrodka za kwadrans dwunasta. Miała na sobie granatowy kostium z lnu i kremową jedwabną bluzkę. Tuż pod drzwiami zmieniła tenisówki na buty na obcasach.

Szukają kogoś takiego jak ja, powiedziała sobie ufnie. Jestem przedsiębiorcza, energiczna, kulturalna... i, niestety, zziębła. Komisja się nie spóźniła, toteż gdy zaproszono ją do gabinetu Juliusa Marra, wciąż jeszcze sapała.

Zważywszy na okoliczności, rozmowa nawet nieźle jej poszła. Doktor Gareth Searle, dyrektor ośrodka, wypytał ją o chorobę matki. Odpowiadała roztropnie, świadoma, że komisja w ten sposób sprawdza jej stosunek do współczesnej opieki zdrowotnej i do lekarzy. Kierowniczka administracyjna, Ros Reynolds, zapytała ją o doświadczenia z pracą biurową, po czym zagadnęła o gotowość do pracy w nietypowych porach, na przykład podczas wieczornych kursów lub dyżurów. Stevie potwierdziła taką gotowość i powiedziała naprawdę szczerze, na czym się zna, a na czym nie.

Doktor Marr prawie się nie odzywał, tylko słuchał i kiwał głową, stykając palce obu rąk. Tuż przed końcem rozmowy weszła jakaś kobieta i oznajmiła:

- Właśnie dzwoniła kandydatka z dwunastej piętnaście i odwołała przyjęcie. A więc pani Reid jest ostatnia.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, wszyscy wstali, a obaj

lekarze wyszli. Stevie też kierowała się do drzwi, kiedy zatrzymała ją Ros Reynolds i konspiracyjnie szepnęła:

- Wystaje pani metka spod spódnicy.

- No nie!

- Proszę się nie przejmować. Lekarze chyba nie zauważyli, a gdzieś tu na biurku doktora Marra powinny być nożyczki. Ojej, aż się tu prosi o sprzątanie! Mogę odciąć?

- Bardzo proszę! Tak to jest, jak się kupuje kostium w piętnaście minut!

- Coś takiego! Pani kupiła go dziś rano, po telefonie doktora Marra o wpół do jedenastej?

Ros Reynolds, szatynka po pięćdziesiątce, była bardzo zadbana i miała piękną fryzurę.

- Tak - potwierdziła Stevie. - Może to głupio zabrzmiało, ale naprawdę nie miałam co na siebie włożyć.

- Głupio? Kochanie, pani mi naprawdę zaimponowała! Skoro jest pani tak świetnie zorganizowana, ma pani moje pełne poparcie! Chociaż ostatnie słowo należy do lekarzy.

- Dziękuję. - Stevie się roześmiała. - I dziękuję, że powiedziała mi pani o tej metce.

Ros spojrzała ze zdumieniem na cenę.

- I to jaka okazja! A ślicznie na pani leży.

Miło by się pracowało z tą Ros, uznała Stevie. Niebawem podobny gest miał ją przekonać, że z doktorem Searle też praca byłaby przyjemna.

- O, brawo - pochwalił, kiedy wpadł na nią na korytarzu za wielką poczekalnią. - Widzę, że odcięła pani tę metkę.

Stevie stanęła zakłopotana.

- Proszę się nie martwić, moja droga - pocieszył ją braterskim tonem. - Chyba nikt inny nie zauważył. Bo ja dostrzegłem dopiero, kiedy pani usiadła. Przyniosłem pani nożyczki. - I machnął jej nimi przed nosem.

Doktora Marra już nie spotkała. Wypełniła jeszcze jakieś formularze pod okiem Ros, po czym wyszła z ośrodka po-krzepiona informacją, że decyzja powinna zapaść najpóźniej do wieczora.

O szóstej zadzwonił doktor Marr.

- Dostała pani tę pracę - oznajmił. - Czy mogłaby pani zacząć jeszcze w tym tygodniu?

- Chociażby w środę - zgodziła się, uznawszy roztropnie, że musi mieć jeszcze jeden dzień na zakup ubrań.

- A, jeszcze jedno - powiedział. - Proszę sobie obciąć metkę przy kostiumie, bardzo zresztą eleganckim, zanim znów go pani włoży. Na szczęście chyba nikt nie zauważył - dodał życzliwie. - Widać było dopiero, kiedy pani usiadła, ale mówię na wypadek, gdyby się pani jeszcze nie zorientowała.

- Dziękuję - wyjąkała Stevie.

Po odłożeniu słuchawki Julius zastanowił się, czy postąpił taktownie. Najwyraźniej wprowadził tę kobietę w zakłopotanie, ale też nie wypadało tego przemilczeć. Miał nadzieję, że złapie ją tuż po komisji, lecz zatrzymał go ważny telefon, a gdy skończył rozmawiać, kandydatka już znikła.

Uśmiechnął się w duchu na wspomnienie dzisiejszego poranka. Stephanie wpadła zziębnięta, a przy tym jakże dystyn-gowana. Odpowiadała na ich pytania z powagą i zapałem, sprawiając jednocześnie wrażenie, jakby była kruchą lalczką, zapewne przez tę drobną budowę i piękną jasną karnację. Można by sądzić, że ta metka dotyczy jej: Stephanie, porcelanowa sekretarka, ręcznie malowana, cena 99 dolarów.

Pewnie nie ucieszyłyby się z tego porównania, bo przy-wodziło na myśl bierność i bezradność. Tymczasem ona była przeciwieństwem lalki. Może nawet będzie musiał ją nieco temperować. W końcu ręczył za nią. Gareth miał pewne wąt-

pliwości, bo nie pracowała od dłuższego czasu, a nigdy w otwartej służbie zdrowia. Ros jednak wyraziła do niej zaufanie. Musi jej za to podziękować.

Czy powinienem być tak ją popierać? - zapytał sam siebie. Jeśli się nie sprawdzi, pretensje spadną na mnie. Po co ja się narażam? Nawet nie miał czasu dojść do jakiegoś wniosku, bo zadzwoniła Irene - z pytaniami, które doprawdy mogły poczekać. Odpowiadał jej, zastanawiając się, gdzie o tej porze są Kyle i Lauren. Czyżby jeszcze w świetlicy?

Musiał się postarać, by uzmysłowił sobie, że to przecież nie jego zmartwienie, i wrócił myślami do Stephanie. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań, a wciąż pod byle pretekstem szukał z nią kontaktu. Dlaczego? Ponieważ w ostatnich latach nauczył się lepszej samooceny, zaświtała mu w głowie odpowiedź. I wcale go nie zachwyciła.

Stevie uznała, że w pierwszym dniu pracy Julius okazał jej przyjaźń. Dzięki wyprawie poprzedniego dnia do sklepów była stosownie ubrana. Włożyła stalowoszare spodnie z lnu, eleganckie cyrkonowe pantofle i bluzkę w tym samym kolorze, usuwając wszystkie metki. Potem starannie uczesała włosy, które po myciu lśniły rudymi refleksami.

Co do pracy biurowej - wyszła ewidentnie z wprawy, a z administracją w służbie zdrowia nigdy nie miała do czynienia. Tyle było do zapamiętania! Kartoteka pacjentów zajmowała cały pokój. Centrala telefoniczna miała piętnaście linii. Komputer zaś po prostu nie działał, jeśli wpisało się złe polecenie.

Ros Reynolds okazała się nadzwyczaj cierpliwa. Cathy Hong, która siedziała z nią w recepcji, wyciągnęła ją z tarapatów co najmniej pięć razy. Nawet pacjenci jej pomagali.

- Czy nie powinna pani wpisać mojego nazwiska na tym

słoićku? - przypomniała jej siwowłosa emerytka, która za ledwie kwadrans wcześniej przez jedenaście minut szukała w torebce karty ubezpieczeniowej.

W porze lunchu Stevie rozboleła głowa. Musiała naprawdę chwilę się zastanawiać, czy Q jest w alfabecie przed R czy po R. Ciekawe, czy któryś z jej błędów może kogoś zabić? Mała szansa, ale i tak nie dawało jej to spokoju. Właśnie nabiła sobie głowę przerażającą perspektywą, że doktor Searle mógłby nie uratować masażem serca życia panu Macintoshowi, bo Stevie odłożyła jego kartę pod Ms zamiast pod Mac, gdy doktor Marr wyszedł z gabinetu i zaprosił ją wesoło na lunch.

- Chyba pani się trochę za bardzo przejmuję - zlął ją, kiedy przechodziła z nim przez ulicę.

- Bardziej niż trochę! - wyznała.

Oboje nieśli parasole, bo padał deszcz. Deszcz na miarę Sydney - potężna ulewa, która oberwała się z wełnistych chmur, toteż po pięciu minutach jezdnie tonęły już w wodzie. Nie było jednak zimno, lecz rześko i przyjemnie.

- To pani pierwszy dzień - przypomniał jej delikatnie, kiedy weszli na nieco suchszy chodnik.

W rzędzie sklepów przycupnęła kawiarnia, w której można też było coś zjeść. Doktor Marr zaprowadził ją do zacisznego stolika w kącie i natychmiast przywołał kelnerkę, którą poprosił o szklanekę wody. Odprawił ją, zanim Stevie zdążyła cokolwiek powiedzieć. Szkoda, bo zamówiłaby i dla siebie. Kiedy po chwili przyniesiono wodę, doktor Marr wyjął mały foliowy pakiecik, rozdarł go i wytrząsnął białą tabletkę.

- Proszę, na ból głowy. -I podsunął jej szklanekę z wodą. Oniemiała.

- Skąd pan wiedział?

- Ma to pani wypisane na twarzy - wyjaśnił z uśmiechem. - Czerwonymi literami.

- Ojej! Aż tak źle! - Nie protestowała, tylko połknęła tabletkę i dopiła wodę.

- Ale proszę zjeść coś treściwego, a nie jakąś tam kanapkę z szynką! - poprosił.

- Miałam taki zamiar - wyznała. - A może pan mi coś poleci?

- *Quiche* z sałatką - odparł bez wahania. - A na deser wielką, różową bułkę maślaną z lukrem i morze herbaty.

- Przepysznie to brzmi! - zawołała. - Od razu lepiej się czuję!

Dla siebie zamówił *lasagne* z sałatką, a gdy czekali na jedzenie, przekazał jej mimochodem garść uwag na temat tego ranka. Dopiero gdy skończył, zorientowała się, że wprowadza ją w ten sposób do pracy, poucza, udziela ostrzeżeń. A kiedy stanął przed nią talerz *quiche* pachnącego serem i ziołami oraz fantazyjna sałatka, przyparła go do muru.

- Dlaczego ja w ogóle dostałam tę pracę? Dlatego że pan się nade mną ulitował?

Aż wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego miałbym się nad panią litować?

- Dlatego że miałabym kłopoty ze znalezieniem pracy normalną drogą.

- Kłopoty? Porwaliśmy panią, żeby uprzedzić innych!

- Jakoś nie wydaje mi się, żebym była pod względem zawodowym takim łakomym kąskiem - odparowała. - Zwłaszcza po dzisiejszym ranku.

- Bzdura! Dla nas jest pani ideałem. Przede wszystkim chodziła pani do szkoły w czasach, kiedy jeszcze uczono dobrej dykcji i czytelnego pisania. Kilka miesięcy temu mieliśmy tu bardzo sympatyczną dziewczynę tuż po dwudziest-

ce, która na szczęście odeszła na studia ogrodnicze. Nie umiała napisać poprawnie żadnego słowa dłuższego niż „kot”, a odczytać nie mogła nawet siebie. Poza tym chyba pani nie wyjedzie po dwóch tygodniach bez uprzedzenia za granicę z nieodpowiednim chłopakiem, tak jak nasza ostatnia kandydatka.

- Nie? - spytała czupurnie, bo czuła, że tak jak każda kobieta mogłaby trafić na nieodpowiedniego partnera.

- Nie! - potwierdził. - Bo choćby był nie wiem jak nieodpowiedni, to przynajmniej zawiadomi nas pani w porę!
- Roześmiała się. - I - podjął już poważniej - ma pani wieloletnie doświadczenie z pielęgnacją osoby cierpiącej na chroniczną chorobę, świetnie więc pani rozumie, co to znaczy być po drugiej stronie. W recepcji to się może okazać bardzo przydatne.

- Ale jeśli nie zapanuję nad telefonami, komputerem i archiwum...

- Stevie, jest pani inteligentna - powiedział już niemal surowo. - Nieraz widywałem panią w akcji. W tydzień nauczysz się obsługiwać kartotekę i centralę. Dużo dłużej trwa nauka empatii, odpowiedzialności i zdrowego rozsądku.

- No tak... - przyznała wolno. - Już rozumiem.

- Doskonale.

Patrzył, jak Stephanie przekrzywia głowę. To ją speszyło.

- Smakowicie to wygląda - wyjąkała.

On też zaczął jeść, a wtedy przyjrzała mu się ukradkiem. Zresztą nie po raz pierwszy. Od zeszłego tygodnia nie wiedziała, jak go zaklasyfikować. Bo chyba w ocenie większości ludzi nie uchodziłby za przystojnego mężczyznę. Twarz miał za długą, usta za szerokie, a szczękę zbyt kanciastą i wystającą.

Za to oczy były niezwykle. Wcześniej nie zwróciła na nie

uwagi, chyba dlatego że kryły się za okularami w rogowych oprawkach. Szare, ciemnoszare oczy i długie rzęsy. Teraz nie miał na nosie okularów. Poznała, że jest dalekowszarem, bo kiedy na nią patrzył, odchyłał nieco głowę do tyłu i mrużył oczy. Bardzo ją to ujmowało.

- Śpiewa pani w ten weekend? - spytał.
- Nie. - Jego zainteresowanie sprawiło jej przyjemność, choć pewnie było zdawkowe. - Ale w piątek mamy próbę.
- Gra pani na jakimś instrumencie? Czy tylko śpiewa?
- Przeważnie śpiewam. Czasem uderzę w bębenek bongo albo brzęknę dzwonkiem, ale to ostatnio wszystko.
- Czy dzwonki i bongo to typowe instrumenty dla muzyki country?

Roześmiała się.

- Czasem lubimy czymś ubarwić występ.

Przegadali tak pół godziny, a deszcz wciąż bębnił na dworze. Quiche i sałatka były pyszne, a bułka z herbatą wprost domowa. Rozleniwiła się jak kotka. Ból głowy minął...

Gdy doktor Marr poprosił o rachunek, poczuła się, jakby musiała wyjść z ciepłego łóżka w chłód pokoju, ale perspektywa drugiej połowy dnia nie przerażała jej już tak jak przed godziną. Doktor Marr dodał jej otuchy.

W drodze powrotnej do ośrodka zorientowała się, że jest dużo wyższy od niej, bo deszcz z jego parasola skąpy wał na jej parasol. A był tak barczysty, że kiedy dmuchnął w nich ostro wiatr, prawie tego nie poczuła, bo osłonił ją sobą. Oczarowała ją bliskość jego ciepłego ciała, a także nieco zachrypli głos, który właśnie przestrzegał:

- Uwaga! Przed panią wielka kałuża. - I chociaż nie od razu się zorientowała, potem często mówiła sobie: chyba wtedy się w nim zakochałam...

Po południu poszło jej znacznie lepiej. Ból głowy nie wrócił, alfabet już nie płałał jej figli i tylko jednej osobie przerwała rozmowę telefoniczną w pół słowa. Nawet kolejność komend w komputerze jakoś jej się utrzymała. A wpół do szóstej naprawdę jej obecność na coś się przydała, co stwierdziła mimo samokrytycyzmu.

O tej porze w ośrodku panował spory ruch. W poczekalni siedziała grupa dzieci w wieku szkolnym z rodzicami. Troje z pięciorga przyjmujących lekarzy, w tym doktor Marr, miało spóźnienie. Nie był to najlepszy moment, by przyjąć kogoś bez numerka, ale Stan Truesdale wcale się nad tym nie zastanawiał.

- Chciałbym się dostać do lekarza - powiedział drżącym głosem. - Mam kłopoty z kanalizacją.

Dwoje dzieci usłyszało to i zachichotało, ale pan Truesdale tego nie zauważył. Stevie znała już tryb postępowania, więc zapytała:

- Jest pan umówiony?
- Nie.
- A jest pan pacjentem naszego ośrodka?

1 znów odpowiedź brzmiała nie. Teoretycznie to nic takiego. W ich przychodni, podobnie jak na ostrym dyżurze w szpitalach, przyjmowano wszystkich, tyle że po pacjentach z numerkami...

- Przyjmiemy pana jak najszybciej się da - zapewniła go uprzejmie Stevie.

- A pan doktor nie mógłby mnie przyjąć od razu?

- Niestety, nie - odparła cierpliwie, bojąc się sprostować, że to może być pani doktor, bo wśród pięciorga lekarzy były dwie kobiety. Zresztą... - A wołałby pan, żeby pana przyjął lekarz? - spytała cicho, nie chcąc dawać dzieciom kolejnego powodu do wesołości.

Staruszek nie był dobrze odżywiony, a już na pewno nie dobrze ubrany. I wyraźnie od niego załatywało. Łatwo było takiego człowieka urazić!

- A to może być lekarka? - wychrypiął z przerażeniem.
- Przyjmuje u nas pięcioro lekarzy. Trzej to mężczyźni - wyjaśniła. - Do mężczyzny trzeba będzie dłużej czekać.
- Ja w ogóle nie mogę czekać. Muszę być przyjęty od razu. Stevie pominęła jego słowa milczeniem.
- Proszę o kartę ubezpieczeniową, proszę wypełnić ten formularz, a potem proszę oddać mocz do analizy - powiedziała i wręczyła mu słoik.

Staruszek najwyraźniej był rad, że coś się dzieje, choć Stevie uznała w duchu, że będzie musiał zaczekać na swoją kolej. Gdy usiadł, żeby wypełnić formularz, poradziła się Kos Reynolds, która ją w tym poparła.

- Owszem - pochwaliła ją Ros - musisz się oprzeć pokusie załatwiania pacjentów poza kolejnością. Nie jesteśmy pielęgniarkami, a jeśli ktoś wymaga natychmiastowej pomocy, powinien udać się do szpitala naprzeciwko na ostry dyżur, gdzie przyjmują specjalnie wykwalifikowane pielęgniarki, które ocenią stan zdrowia pacjenta i w razie czego przesuną go na początek kolejki. A co mu dolega?

- Ma kłopoty z oddawaniem moczu - wyjaśniła.
- Podobnie jak czterdzieści procent Australijczyków powyżej czterdziestego piątego roku życia - odparła Ros.
- Mówiła pani chyba, że nie jest pielęgniarką!
- Coś się tu zawsze obje o uszy - skwitowała Ros. - Poza tym czytam wszystkie broszury dla pacjentów.
- Chyba powinnam robić to samo.
- Owszem, warto mieć odrobinę wiedzy i ogólną orientację. Od dwudziestu lat pracuję w administracji medycznej, a do dziś zdarzają mi się niespodzianki!

Roześmiała się i znikła wśród segregatorów. Stevie zanotowała sobie w głowie, by wziąć do domu na weekend plik broszur informacyjnych dla pacjentów. Ten jej rok pracy był już tak dawno temu...

Pan Truesdale skończył wypełniać formularz. Położył go przed Stevie i stał przy biurku, przestępując z nogi na nogę. Zerknęła na formularz, zobaczyła, że wypełnił go do końca. Tylko czy właściwie? Trzęsącą się ręką odfajkował całą kolumnę, stawiając od góry do dołu ptaszki w rubryce „nie”, co wskazywałoby na to, że cieszy się wprost końskim zdrowiem. Żadnych alergii, nadciśnienia, kłopotów z sercem, i tak dalej... Lecz kiedy zobaczyła, że odhaczył na „nie” pytanie dotyczące kłopotów z oddawaniem moczu, pojęła, że ten dokument jest bezwartościowy.

Doktor Marr miał najmniejsze opóźnienie. Uznała w duchu, że do niego pośle pana Truesdale'a, a głośno przypomniała pacjentowi, by oddał mocz do analizy. Przypomnienie nie należało już do niej, lecz staruszek bardzo się niecierpliwił, a z pewnością tego właśnie badania zażąda doktor Marr. Wskazała mu schludną toaletę w drugim końcu poczekalni.

Staruszek poczłapał tam z posepną miną. Jeszcze raz zerknęła na formularz. Jej wzrok padł na datę urodzenia - 10 marca 1933. Pomyślała, że wygląda starzej. Sądziłaby, że jest dobrze po siedemdziesiątce. Zaraz potem pomyślała, że dzisiaj jest 10 marca, więc mężczyzna albo jest znacznie bardziej pomyłony, niż sądziła, albo ma dziś urodziny.

Spytam go, kiedy wróci, postanowiła. Biedny człowiek!

Ale czas nie stał w miejscu. Zjawiło się dwóch kolejnych pacjentów z numerkami, musiała więc odbić ich karty ubezpieczeniowe na powielarce. Niechący przełożono czyjąś kartę zdrowia na zły stos.

Pan Truesdale wrócił z pustym słoikiem.

- Nie mogę - przeprosił. - Niby mi się chce, a jakoś nie mogę. Chyba więc nie będę dziś zawracał głowy lekarzowi. Przyjdę kiedy indziej. Nie jestem nic winien?

- Nic pan nie jest winien, ale....

- Przepraszam - przerwała jej gorączkowo młoda matka.
- Moja córeczka zaraz zwymiotuje. Gdzie jest toaleta?

- Widzi pani tamte drzwi? - zaczęła Stevie, ale było już za późno, a zanim przyniosła papierowe ręczniki, wiadro z wodą, środek dezynfekcyjny i mopa, pan Truesdale poczłapał już za drzwi.

- A niech idzie - skomentowała bystra Anna Lewis, która miała dyżur w recepcji. - Jak ma ważną sprawę, to wróci.

- Pewnie tak - zgodziła się Stevie.

Jeszcze widziała go przez szklane drzwi. Czekał, by przejść na drugą stronę Avoca Street, po której woda nadal płynęła rynsztokami, a samochody rozpryskiwały wielkie fontanny, chociaż na niebie już się przejaśniło. No i nie miał zbyt szczęśliwej miny.

Przypomniały jej się jego słowa: „Niby mi się chce, a jakoś nie mogę”. Mama mówiła tak samo, kiedy nagle jej stan się pogorszył i... Nawet nie czekała, by domyśleć rzecz do końca. Śmignęła obok zdumionej Anny, zostawiając recepcję, poczekalnię pełną pacjentów, i wybiegła na ulicę.

- Panie Truesdale! - Wreszcie ruch przerzedził się na tyle, że staruszek mógł przejść. Już stawiał nogę na drugim krawężniku. - Panie Truesdale, niech pan zaczeka!

Ale on jej nie słyszał, a światło na skrzyżowaniu z Anzac Parade znów się zmieniło na zielone.

Nie mogę go tak puścić, pomyślała.

Sunął przed siebie, ona za nim, tyle że po drugiej stronie ulicy, wciąż wypatrując luki w dwukierunkowym strumieniu pojazdów. W końcu zdołała się przedrzeć na drugą stronę.

- Panie Truesdale!

- He?

Zamrugał, widać było, że jej nie poznał.

- Panie Truesdale, musi pan wrócić do ośrodka. Kiedy ostatnio opróżniał pan pęcherz?

- He? - spytał po raz wtóry i wtedy go oświeciło. - O rajuśku, od rana nie wychodziłem za potrzebą.

- Czyli dokładnie od której?

- Od jakiejś szóstej. Ostatnio nie najlepiej sypiam...

- I czuje pan, że jest pełny?

- He? - Już po raz trzeci.

- No, pański pęcherz!

- Pęka w szwach! - odparł szczerze. - Godzinę temu wypłem duże piwo!

- W takim razie musi pan wrócić!

Ostry przypadek zatrzymania moczu. Stevie pamiętała tylko, kiedy zdarzyło się to jej matce. Był to bardzo przykry, ale na szczęście przejściowy objaw stwardnienia rozsianego. Dowiedziała się wtedy, że gdyby pomoc nie przyszła natychmiast, mogłoby to doprowadzić do uszkodzenia nerek, a w konsekwencji do śmierci.

Na szczęście pomoc była stosunkowo łatwa - wystarczyło zrobić cewnikowanie, wykonalne nawet w warunkach ambulatoryjnych.

Pan Truesdale zawrócił z pewnym ociąganiem, ale najwyraźniej bardzo już cierpiał. Gdy w poczekalni zobaczyła doktora Marra, który wyszedł z gabinetu, by wezwać następnego pacjenta, podbiegła i poprosiła:

- Panie doktorze, proszę teraz przyjąć tego pana.

Za nim dostrzegła Ros Reynolds, która podслуchała jej prośbę i zrobiła surową minę.

- O co chodzi? - spytał cicho Julius Marr.

- Ten pan nie może się załatwić. Moja mama cierpiała podobnie dwa lata temu, stąd wiem, że to może być groźne.

- Owszem. I to bardzo - potwierdził, a potem zwrócił się do starszego pana. - Zajmijmy się tym.

Obaj zniknęli w jego gabinecie. Po chwili usłyszała, że lekarz prosi Aimee Hilliard, by przyniosła mu cewnik.

- Co to za historia? - spytała Ros na poły zaintrygowana, na poły sceptyczna. - Przecież mówiłaś, że pracowałaś w zawodzie tylko rok, i to piętnaście lat temu.

- To prawda - odparła Stevie. - Po prostu przydało mi się doświadczenie związane z pewną przypadłością mamy.

- Cieszę się, że miałaś odwagę się wychylić, bo ja bym go pewno puściła.

- Dziękuję, Ros. Muszę przyznać, że chyba po raz pierwszy dzisiaj na coś się przydałam - wyznała.

- Co ty wygadujesz? - zachnęła się Ros. - Jak na pierwszy dzień poszło ci naprawdę nieźle.

- Naprawdę? Dzięki!

Tuż po szóstej z gabinetu wyszedł pan Truesdale z plikiem broszur i receptą w ręce.

- Muszę się umówić na kolejną wizytę - powiedział, a Stevie przez ładnych kilka minut pomagała mu wybrać dzień i godzinę.

Poczekalnia powoli pustoszała. W środy ostatnich pacjentów z numerkami umawiano na za dziesięć piąta, za to we wtorki i czwartki wizyty trwały do dziewiątej, a potem do wpół do dziesiątej pracowały jeszcze poradnie specjalistyczne, kółka informacyjne i specjalne grupy. Stevie uczyła się od Ros, co się robi pod koniec dnia, ale w duchu już nastawiała się na miłe spotkanie z doktorem Marrem. Bardzo jej pomógł tym lunchem. Wiedziała też, że zawróceniem z ulicy pana Truesdale'a zasłużyła sobie na dobrą opinię lekarza.

Dotąd kiełkujące w niej uczucie nie wydało jej się groźne, a może powinno - bo kiedy Ros pozwoliła jej wyjść, zaczęła się ościagać, wstąpiła do kuchni niby to na szklanke wody...

Doktor Marr jednak nie wychodził i Stevie skarciła się w duchu. Naprawdę muszę czekać na pochwałę z jego ust?

Zgarnęła swe rzeczy, pożegnała się z koleżankami i ruszyła na parking za ośrodkiem, na którym stało jej małe auto. Zamykając za sobą drzwi, zorientowała się, że Julius depte jej po piętach.

- Nic mu nie będzie? - spytała.

- Hm?

- Stanowi Truesdale.

- Wyjdzie z tego - odparł z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Ma powiększoną prostatę, ale nie ma poważnych powodów do obaw. Musi, oczywiście, pozostawać pod kontrolą. Prowadzę właśnie pacjenta w ostatniej fazie raka prostaty, bo nie zwrócił się w porę o pomoc, a potem było za późno.

- No więc skoro kłopot z...

Urwała. Wcale jej nie słuchał. Odwrócił się tylko i rzucił z roztargnieniem przez ramię:

- Do jutra, Stevie.

Gdy szedł do samochodu, o nogi objęła mu się wielka, ciężka z wyglądu teczka. Stevie, idiotycznie rozczerwona, popatrzyła w ślad za nim. Otworzył drzwi wiśniowego saaba tak szybkim ruchem, jak gdyby ten miał odjechać bez niego. Potem rzucił teczkę na tylne siedzenie, zapiął pas, opuścił do połowy okienko, zapalił stacyjkę i sięgnął do telefonu. Najwyraźniej nie musiał nawet wystukiwać numeru, tylko nacisnął guzik automatycznego połączenia. Gdy szła na miękkich nogach do swego samochodu, usłyszała jego głos:

- Irene? Cześć! Już jadę...

Saab śmignął obok niej, rozpryskując brudną wodę. Aż musiała uskokczyć, żeby nie ochlapał jej jasnych spodni. A Julius nawet tego nie zauważył. Ależ on jest...

Szukała w myślach odpowiedniego słowa. Nieczuły. Parking nie był taki znów ciasny. Można było ominąć tę ohydłą kałużę.

To zachowanie tak dalece odstawało od zachowania podczas lunchu, że zastanowiła się, czy przypadkiem wtedy nie udawał.

Co za bzdura! Przecież to się kupy nie trzyma!

Jadąc Anzac Parade w godzinie szczytu, Julius częściej zmieniał bieg swoich myśli niż biegi w samochodzie.

- Masz teraz dzieci przy sobie? - zapytał przez telefon Irene, po czym wysłuchał jej rozkładu zajęć do końca dnia. - Dobrze, w takim razie wezmę je na pizzę, żebyś w tym czasie mogła... - Urwał, bo zmieniło się światło, a samochód jadący przed nim zmienił gwałtownie pas. - Zresztą pogadamy na miejscu. Nie znoszę rozmawiać przez telefon w samochodzie. To jest nawet zabronione, a ruch jak diabli... No to na razie.

Ledwie odłożył słuchawkę, a ów pomyłony kierowca skaczący po pasach wdepnął hamulec i Julius omal nie wbił mu przedniego zderzaka saaba w kufer. Nacisnął klakson - zwykły upust frustracji, którego na ogół unikał - po czym zaczął sobie wmawiać, że przecież wyjście na pizzę z osiemnastolatkiem i z dziesięcioletnią dziewczynką powinno być przyjemne.

Przypomniał sobie poniewczasie, jak potraktował Stevie Reid na parkingu. Pytała go o Staną Truesdale'a, a on ją zbył. Może nawet rzucił jej „do widzenia”, ale niewiele więcej... Potrząsnął głową, by zwalczyć rosnące w skroniach napięcie.

Będzie miał dużo szczęścia, jeżeli przed północą dotrze do domu...

- Tak, wczoraj miał urodziny.

- Słucham? - Stevie obejrzała się zdziwiona od dużego segregatora, z którego wyjmowała karty umówionych rano pacjentów.

Doktor Marr stał za nią, wysoki, pięknie ubrany. Podziwiała jego gust. Dziś miał na sobie jedwabną koszulę w delikatny wzorek na ciemnym tle. Włożył okulary trzymane w ręce, jak gdyby to mogło w czymś pomóc. Ale się mylił, bo Stevie, wciąż skupiona na jego wyglądzie, nie powiązała jego słów z wczorajszym pacjentem. Wreszcie wyjaśnił:

- Wczoraj rzeczywiście Stan Truesdale miał urodziny.

- Tak? Bo wpisał dziesiątego marca, ale obawiałam się, czy nie wpisał po prostu wczorajszej daty.

- Brałem to pod uwagę - zgodził się. - Dlatego sprawdziłem osobiście. Było mu miło, bo dostał kartę od córki z Melbourne i obiecał, że znów się zjawi.

- Dobrze, że ma córkę. Bo chyba nie dba o siebie.

- To prawda. Zdaje się, że w zeszłym roku zmarła mu żona, a także lekarz, do którego oboje chodzili od lat, dlatego nie widziałem go przedtem i tak długo zwlekał z szukaniem pomocy lekarskiej. Wyślę do niego pielęgniarkę środowiskową, bo chyba wymaga nieco więcej pomocy, niż sam przyznaje.

- Bardzo się cieszę - odrzekła Stevie - bo serce mi się kraje na widok pacjentów, którzy sobie nie radzą.

- To część medycyny - powiedział rzeczowo. - Opieka społeczna w tym kraju ma pewne luki, chociaż i tak funkcjonuje lepiej niż gdzie indziej. Chyba taki ośrodek zdrowia jak nasz powinien wyłapywać takich ludzi jak Stan Truesdale.

Zawsze proszę rejestratorki, żeby informowały lekarzy, czy czegoś nie przegapili. Trzeba podpatrywać zachowanie pacjentów w poczekalni, uważnie ich słuchać.

- Zapamiętam.

- Jedną chwileczkę... - Nagle zmienił temat. - Chciałbym przeprosić, że tak panią zbyłem wczoraj na parkingu.

- Co gorsza, omal mnie pan nie przejechał - odparła pogodnie.

Przynajmniej zechciał przeprosić! Ale teraz znów patrzył na nią nie widzącym wzrokiem.

- Chyba byłem zatopiony w myślach.

- Owszem. Ale nie było tak źle. - Uśmiechnęła się i podniosła głowę. - Poznałam, że pan jest... - Zawahała się.

Oddalony o milion kilometrów? - Zmęczony.

- Ale... co się stało? Ochlapałem panią?

- Nie - ucięła, myśląc, że facet wciąż buja w obłokach.

Co go tak zajmuje? - Już nic.

A potem, nie chcąc analizować jego roztargnienia, odwróciła się ostentacyjnie do segregatora.

Rozdział trzeci

W niecałe dwa tygodnie zrozumiała, że sprawa z Juliušem Marrem jest całkiem poważna. Objawiło się to w typowy sposób - zaczęła pisać piosenki.

Była jedynaczką i od najmłodszych lat poświęcała się muzyce - od dwunastego roku życia grała na fortepianie, a potem na gitarze klasycznej i śpiewała w szkolnym chórze. Po szkole podjęła nieco nieudane, a przy tym komiczne próby zrobienia kariery w tej dziedzinie. Gdy pracowała jako kelnerka, pobierała lekcje śpiewu, grała solo na folkowej gitarze w pubie i razem z kolegą szkolnym Alexem oraz jego dwoma kudłatymi, pozującymi na zbirów braćmi utworzyli zespół heavymetalowy.

Ale „Potwór z bagien” rozpadł się przed nagraniem pierwszego utworu, a obydwaj bracia, David i Paul, byli dzisiaj bardzo konserwatywnymi przedsiębiorcami, zasiadającymi w pluszowych gabinetach szklanych wieżowców w północnym Sydney.

W wieku dwudziestu trzech lat Stevie zrozumiała, że jej ambicje wykraczają poza wątpliwą karierę kiepskiej piosenkarki. Spróbowała sił w pielęgniarstwie, poznała Granta Halla, zakochała się i zaręczyła. Dlatego zaledwie rok później rozstała się z pielęgniarstwem.

- Wybacz, Stephanie - powiedział Grant - ale ten zawód nie licuje z żoną człowieka na stanowisku. Lada chwila spodziewam się, że wyślą mnie na kilka lat na placówkę, zapew-

ne do Hongkongu, chciałbym więc, żeby moja żona zajęła się organizacją życia towarzyskiego, a niekoniecznie umiała zrobić czterolatкови zastrzyk tak, żeby nie płakał. Jeśli traktujesz poważnie nasze małżeństwo, to po dyplomie musisz rzucić pielęgniarstwo, a zapisać się na kursy wyrafinowanego gotowania oraz etykiety.

Odurzona miłością Stevie zapisała się na kurs gotowania. Nauczyła się wybornie przyrządzać potrawy, chociaż sama decyzja sporo ją kosztowała. Z kursem dobrych manier też się wahała. Ale podjęła decyzję, która pod każdym względem wydała jej się słuszna.

Związek jednak nie przetrwał. Mama czuła się coraz gorzej, a po niezliczonych badaniach padła wreszcie diagnoza - SM. Stevie, która w wieku szesnastu lat straciła ojca, bo umarł na zawał serca, była zdruzgotana. Ani przez chwilę nie dopuszczała myśli, żeby oddać mamę do zakładu, co otwarcie powiedziała Grantowi. Oczekiwała od niego zrozumienia i wsparcia, ponieważ sama rozumiała i wspierała jego cele, lecz srodze się zawiodła. I znów stanęła przed wyborem.

Tym razem nie okazał się on taki trudny. Zajmie się mamą, a Grant niech idzie do diabła razem z tym swoim pierścieniem! Goryczy dodała świadomość, że Grant najwyraźniej kpił tylko z jej uczuć, które tak naiwnie wylewała w swych piosenkach. Bardzo ją to zabolalo. W jej tekstach zaroiło się od takich rymów jak smutny-wierutny albo samotna śmierci-skuł lód na perci.

Kiedy skończyła trzydzieści jeden lat i pracowała dorywczo w instytucjach charytatywnych, a stan zdrowia matki pogarszał się w niemożliwy do przewidzenia sposób, zadzwoniła do niej Alex, obecnie mężatka z dzieckiem, i oznajmiła, że odkryła muzykę country i że tworzy żeński zespół. Chciałaby mieć u siebie Stevie jako główną wokalistkę.

- Nie mogę - wymówiła się Stevie, ale mama ją przekonała.

- Choćby dlatego - jak przyznała ze śmiechem - że będę miała frajdę z szycia ci strojów!

I tak powstała „Lizzy przy garach”. Grały razem przez blisko osiem lat. Zespół wprowadził kilka pozytywnych zmian w życiu Stevie. Przede wszystkim dał upust jej emocjom, energii i siłom twórczym. Kiedy poznała mężów innych członkiń zespołu, dowiedziała się, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Grant. No i zyskała możliwość napisania garści znacznie lepszych tekstów. Już od dziesięciu lat nie rymowała „ty” ze „sny”.

We wtorek, w drugim tygodniu pracy, po wyjściu z ośrodka szła bosą po plaży Maroubra, gdy przyłapała się na tym, że nuci nową melodię i dopasowuje do niej urywane frazy, a bardzo wyraziste obrazy Juliusa Marra wypełniają jej głowę.

- Na spacerach z tobą zawsze będę sobą... - zaśpiewała cicho. Jesienne fale rozbijały się pieniście na brzegu. Cierpliwi surferzy podskakiwali jak foki w tej morskiej kipieli, czekając stosownej chwili. - O, fuj! Co ja śpiewam? No tak. Chodzi o doktora Marra. O Juliusa...

Rozmarzyła się, wymawiając jego imię, najtrudniejsze chyba do zrymowania spośród męskich imion w języku angielskim. Kiedy ostatnio czuła coś podobnego do mężczyzny? Przyśpieszone tętno, miękkie nogi, ściskanie w dołku? Pominąwszy kilku poznanych przelotnie mężczyzn, nie zdarzyło się jej nic podobnego od czasu narzeczeństwa z Grantem, czyli od czternastu lat.

Mam trzydzieści dziewięć lat. Tak czują się nastolatki. W ciągu jednej godziny potrafią wpadać z uniesienia w rozpacz. Nagle ją to przeraziło. Wybiegła z plaży i wróciła do

domu, nie zwracając uwagi na piękny zachód słońca. Na kolację zrobiła sobie jajecznicę na grzance, ale nie dojadła, bo jedzenie przestało ją bawić. Karmiła się magiczną strawą zakochanych.

W nocy źle spała, bo wciąż nękały ją obrazy Juliusa - witał wesoło swoich pacjentów, uśmiechał się promiennie do wszystkich wokół albo kroczył przez poczekalnię, nikogo nie zauważając. To już był groźny znak! Bo dla reszty personelu to jego zachowanie było wysoce irytujące.

- Panie doktorze, czy miałby pan czas teraz podpisać...
Bach! W piątek po południu, w pół zdania Ros, trzasnęły zamknięte bezceremonialnie drzwi gabinetu Juliusa. Ros wzruszyła ramionami.

- Moim zdaniem, jego stan się pogarsza!

- To znaczy, że on zawsze się tak zachowuje?

Stevie rozpaczliwie próbowała się czegoś o nim dowiedzieć, a udawała, że powoduje nią zwykła ciekawość.

- On tu pracuje dopiero od stycznia zeszłego roku - odparła Ros. - Przyszedł jakieś trzy tygodnie przede mną. Ja akurat ukończyłam kurs dla położnych, toteż oboje zaczęliśmy razem. Aż rwał się do pracy. I zawsze ma znakomity kontakt z pacjentami. Zresztą, poznałaś go w akcji, zanim tu przyszedł. Ale ostatnio biega taki zamyślony, że nikogo nie widzi. Zastanawiam się, czy nie ma kłopotów osobistych.

- Oczywiście, jest żonaty...

Stevie aż zaschło w ustach. Julius nie miał na palcu obrączki, ale przecież nie wszyscy żonaci mężczyźni je noszą. No więc powiedz mi, Ros, że jest żonaty, to zapanuję nad sobą. Przydałoby się, bo ta piosenka, nad którą ślezczałam w nocy przez dwie godziny, jest po prostu koszmar!

- Prawdę mówiąc - odparła Ros z zadumą - nie jestem pewna.

- Aha.

- Chyba nie, bo nigdy nie mówi o żonie ani dzieciach, ale on nie zwierza się na swój temat. Ostatnio często widzę, że wybiega tuż po pracy, ale nie mam pojęcia dokąd. Wydzwaniam tu pewna kobieta, zaraz, jak ona ma na imię... Irene. Jeśli chcesz, mogę sprawdzić w dokumentach jego stan cywilny.

- Daj spokój - zachnęła się Stevie. - Przecież to nieważne.

Żałowała jednak, że nie dostała od Ros definitywnej odpowiedzi, bo nie robiłaby sobie głupich nadziei.

Istniał tylko jeden powód, dla którego inteligentni, zdrowi, dobrze funkcjonujący mężczyźni są sami - bo chcą. Gdyby nie chcieli, znaleźliby niejedną partnerkę. Więc albo jest żonaty, niewykluczone że z ową Irene, albo wziął ślub z pracą i ze swoimi hobby.

Stevie była nie w ciemni bita, toteż wkrótce rozgryzła swój problem. Jestem samotna. Doznawszy zawodu ze strony Granta, odsunęłam od siebie perspektywę miłości, a przez ten czas zajmowałam się mamą. Teraz, kiedy jej zabrakło, przybyło mi czasu, świat się powiększył i szukam czegoś więcej. Chętnie poznałabym jakiegoś mężczyznę. Chciałabym się rozerwać, zakochać, wyjść za mąż...

„Lizy przy garach” miała w ten weekend dwa występy: na zabawie szkolnej w szkole syna Liz w sobotę rano i na weselu w sobotę po południu. Druga impreza była huczna, odbywała się na świeżym powietrzu. Pan młody wystąpił w stroju kowboja, a panna młoda w jaskraworóżowej sukni wyglądała jak drugoplanowa aktorka z filmu z Johnem Wayne, powiedzmy barmanka podejrzanego konduity. Nie było to wesele, o jakim Stevie marzyłaby, gdy była zaręczona z Grantem, a mimo to zżerała ją zazdrość o pro-

mienną pannę młodą. Zwierzyła się nawet Alex, kiedy pakowały stroje po odśpiewaniu przyjętego owacyjnie tuzina piosenek.

- Co? W tej sukni? - zdumiała się Alex.

- Coś ty! Nie chodzi mi o suknię! Po prostu chętnie wyszłabym za męża, ale za długo zwlekałam. A teraz chyba jest już za późno...

- Bzdura - sprzeciwiła się Alex, chowając elektryczne skrzypce do futerału.

- Przecież...

- Daj spokój - przerwała jej koleżanka. - Mnóstwo facetów chodzi luzem...

- I to mówi kobieta, która po Nicku nie spojrzała na żadnego.

- Ale ty jesteś atrakcyjną, interesującą, finansowo niezależną kobietą, i to w wieku rozrodczym...

- No, na granicy. Walisz prosto z mostu, co?

- To właśnie ludzie we mnie lubią - odparła szczerze Alex. - Pominąwszy tych, którzy nie lubią!

- Ale jacy faceci, Alex? - dopytywała się Stevie.

- Chociażby mąż Liz. - Ścisłej: były mąż, ale Stevie i tak nie mogła się nadziwić.

- Pete?

- Niby czemu nie? To miły facet. Rozwiedli się kulturalnie. I ma fajne dzieci.

- Chyba o to chodzi - stwierdziła Stevie. - O dzieci. Prawie dorosłe, czternaście i siedemnaście lat. Nie sądzę, że byłabym najlepszą macochą, a Pete chyba nie chciałby mieć nowego dziecka. Zresztą... - Przerwała ze śmiechem, bo właśnie minęła je Liz, tocząc swój bęben na wózku, i zniżyła głos. - Pete w ogóle mnie nie bierze.

- Skoro nie znasz nikogo odpowiedniego - poradziła

Alex, wyciągając szyję, żeby rozejrzeć się wśród weselnych gości - to ruszaj na łowy.

- Łatwo powiedzieć - rzuciła sceptycznie Stevie. - Ale jak to zrobić?

- Poproś koleżanki, żeby ci kogoś znalazły.

- O nie, piękne dzięki!

- Zapisz się na kurs dla spawaczy.

- Kpisz sobie!

- No to zacznij chodzić do pralni samoobsługowej.

- Po co?

- Znana sprawa. Samotni mężczyźni często chodzą do takich pralni. A wiele można wywnioskować z bielizny człowieka.

- Alex...!

- Wierz mi, skarbie! Jeśli to dla ciebie ważne, nie możesz czekać z założonymi rękami. Musisz się trochę wysilić.

Te słowa utkwiły Stevie w głowie. Tak, Alex ma rację. Pod koniec weekendu podjęła decyzję. Przestanie myśleć o Juliusu, przestanie gdybać. Za radą Alex zrobi pierwszy krok. Da ogłoszenie.

Wybrała tygodnik ilustrowany „Sydney Scene”, który w każdym numerze poświęcał co najmniej dwie strony na ogłoszenia „prywatne”. Ogłoszenie Stevie ukazało się w drugim tygodniu kwietnia, kiedy ranki nieco się ochłodziły, dni stały krótsze, a powietrze jakby bardziej rześkie.

Jesień. Tradycyjnie czas melancholijnej nostalgii, a nie nowych, wiosennych początków.

Stevie jednak nie kierowała się przesadami. Tekst był prosty, bardziej precyzyjny niż pretensjonalny. „Kobieta, 39, inteligentna, kulturalna, zaradna, szczerza i niezależna, pozna pana w celu nawiązania przyjaźni lub partnerstwa”.

Zamieszczono je w połowie kolumny wśród śmieiej na ogół sformułowanych tekstów. Na przykład: „Rozrywkowa, żarliwa brunetka” oraz „niezwykle frapująca blondynka”. Mimo to Stevie dostała sporo zgłoszeń na adres swojej skrytki pocztowej, gwarantującej bezpieczeństwo i dyskrecję.

Przez cały wieczór czytała je i rozważała, do kogo zadzwonić najpierw. Potem, bardzo stremowana, odbyła telefoniczne rozmowy z trzema mężczyznami i umówiła się na następny tydzień po pracy, kolejno w poniedziałek, wtorek i środę w popularnym barze restauracyjnym „Bravos” niedaleko ośrodka.

Postanowiła, że wróci potem taksówką do domu, bo wiedziała, że może być w nie najlepszym humorze. Nie chciała jednak, by któryś z mężczyzn poznał jej nazwisko, adres, miejsce pracy lub jej samochód, dopóki ona nie upewni się co do ich uczciwości.

W poniedziałek pojechała więc autobusem do pracy, obawiając się, że przez cały dzień będzie się denerwowała wieczorną randką. Ale wciągnął ją wir pracy. Biedna Sally Kitchen, która w poprzednim tygodniu była z dziećmi na obowiązkowych szczepieniach, zjawiała się znowu. Cała trójka urządziła koncert. Doktor Marr się spóźnił, a dzieciaki zgłodniały. Matka mogła przystawić do piersi tylko dwoje naraz, trzecie zaś wymagało butelki, którą Stevie w końcu sama zaoferowała się przygotować i podać.

- Ale proszę nie podgrzewać w mikrofalówce - przestrzegła ją Sally, idąc z nią do oddzielnego pomieszczenia.

- A dlaczego? - spytała Stevie, trzymając na ramieniu zanoszącą się płaczem Amelię.

Sally spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Bo nie wolno. Gdzieś wyczytałam. Chyba mleko się warzy.

- Tak?

Stevie odniosła się do tej informacji nieco sceptycznie, chociaż sądząc po minie Sally, było to tak pewne jak zasada, że nie wolno dawać dzieciom plastikowych toreb do zabawy. Stevie trzymała dziecko i wysterylizowaną butelkę w jednej ręce, a puszkę mieszanki sojowej Sally w drugiej, kiedy wyszedł doktor Marr, by wezwać następnego pacjenta. Niestety, jeszcze nie trojaczki.

- W czym problem? - spytał, zaglądając do pokoiku.

- W niczym. Wszystko gra - zapewniła go prędko Sally.

Ale Stevie spytała:

- Dlaczego nie można podgrzewać butelek w mikrofalówce? Sally tak powiedziano, ale nie umie tego wyjaśnić.

- Tylko dlatego, że w takiej kuchence łatwiej przesadzić z temperaturą. Mikrofalówka podgrzewa nierówno, a butelki w ogóle nie podgrzewa. Butelka nagrzewa się dopiero później, od mleka. Dlatego ktoś mógłby w pośpiechu wziąć zimną butelkę, upuścić kroplę letniego mleka na nadgarstek i pomyśleć: już wystarczy. Tymczasem część mleka może być gorąca i poparzy dziecku buzię. Trzeba dobrze potrząsnąć butelką i odczekać chwilę, wtedy będzie dobrze.

- I tak zrobię - zdecydowała Stevie, przekrzykując Amelię.

Sally spojrzała podejrzliwie na Stevie i córeczkę, jak gdyby chciała zbojkotować ten pomysł, ale w końcu dała spokój. Tymczasem Stevie pośpieszyła odebrać telefon, a potem odeszła na bok, żeby podgrzać butelkę. Bojąc się, by nie przegrzać mieszanki, włączała raz po raz kuchenkę mikrofalową, za każdym razem wybierając na elektronicznym zegarze tylko kilka sekund.

- Jeszcze tylko chwilka - obiecała Amelii, która popiskiwała niecierpliwie. - Wytrzymaj!

Wreszcie dziewczynka utuliła się u niej na rękę, przy-

mknęła oczy i zaczęła błogo ssać. Stevie nie posiadała się z radości - nawet kiedy znów musiała odebrać telefon, zonglując niewprawnie słuchawką, piórem, dzieckiem i butelką.

I wtedy pomyślała o randce w „Bravos”. Czy w ten sposób poznany obcy człowiek może po roku albo dwóch zostać ojcem jej dziecka? Takiego jak to...

Jak najbardziej! Przecież ludzie poznają się w najrozmaitszych okolicznościach. Czemu więc nie tak? Nawet nie zauważyła, jak podszedł do niej doktor Marr i powiedział:

- Teraz mogę je przyjąć.

- A, świetnie. Mała jeszcze nie skończyła. Czy mam...? Była stropiona, gotowa z miejsca przekazać mu to dziecko z butelką w buzi, on jednak powstrzymał ją gestem, wpychając niemal tę kruszynę z powrotem w jej ramiona.

- Proszę nie przerywać - powiedział. - Ros i Cathy mogą odbierać telefony. Aimee robi opatrunek dla pacjenta doktora Williamsa. Proszę pomóc Sally się nimi zająć, kiedy będę oglądał każde z osobna. Niech pani spojrzy, jak ta mała trze sobie uszko. Pewnie to jakieś zapalenie...

Wszystkie dzieci miały zapalenie ucha, a doktor Marr wyjaśnił dokładnie, jak należy postępować i jak zapobiegać takim infekcjom. Sally łowiła jego słowa łapczywie, jak gdyby jutro rano zdawała z tego egzamin. On zaś co rusz zerkał na Stevie, która trzymała Amelię, a w duchu zastanawiała się: po co mi te wiadomości? Przecież nie jestem matką...

Dzień minął jak z bicia trzasnął. Ale potem godzina spędzona w barze z obcym mężczyzną nie należała do najbardziej udanych. Stuart nawet okazał się dość miły. Był analitykiem giełdowym. Wysoki, dość przystojny rozwodnik bez dzieci. Miał czterdzieści lat, chociaż Stevie zastanawiała się

w skrytości ducha, czy kilku sobie nie odjął. Bo z pewnością wyglądał starzej niż Julius... Jakoś między nimi nie zaiskrzyło i chociaż żadne z nich elegancko się na ten temat nie zająknęło, przy rozstaniu nie wymienili numerów telefonu. Stevie wiedziała, że więcej się nie spotkają.

We wtorek sytuacja się powtórzyła. Chris pracował „w reklamie”, miał trzydzieści pięć lat, był kawalerem, sympatycznym i pełnym ogłady. Uprzejmość kazała mu poprosić Stevie o numer telefonu, ale wiedziała, że nigdy do niej nie zadzwoni. Kiedy wróciła za pięć siódma taksówką do domu na resztki zapiekanki z tuńczyka, miała ochotę odwołać środowe spotkanie z następnym nieznanym.

Ale ze mnie tchórz, skarciła się w duchu. Jeśli w ogóle wiąże z tym jakieś nadzieje, muszę dać sobie trochę czasu! Z tym mocnym postanowieniem nazajutrz rano wystroiła się w nową spódnicę z pięknej wełny, do tego włożyła czarny sweterek z angory z krótkimi rękawkami, a po pracy zrobiła sobie w łazience ośrodka szykowny makijaż.

Kiedy już niemal jako weteranka wkroczyła do „Bravos” i skręciła do baru, pomyślała, że najbardziej nienawidzi tej pierwszej chwili. Nigdy nie wiedziała, czy nawiązuje kontakt wzrokowy z właściwym mężczyzną, a potem, co on myśli na jej temat. Uzbroidła się w cierpliwość, usiłując zgadnąć po dość krótkiej rozmowie telefonicznej sprzed tygodnia, jak ów „John” może wyglądać.

I nagle oniemiała. Zupełnie zapomniała o tym, że w barze zawsze mogła spotkać kogoś znajomego, bo mieścił się bardzo blisko ośrodka. Teraz owo zagrożenie się urzeczywistniło. Przy barze stał, zerkając na zegarek, Julius Marr.

Jeszcze jej nie zauważył. Przez chwilę ważyła w głowie bezsensowny domysł, że może doktor Marr jest owym Johnem”. W odróżnieniu od Stuarta i Chrisa trzeci mężczyzna,

który podpisał swój list słowami „Twój nowy przyjaciel”, wyrażał się przez telefon dość enigmatycznie.

Stevie złożyła to na karb nerwów, ale niewykluczone, że istniało jakieś inne, przykre wytłumaczenie. „John” mógł być żonaty i szukać dyskretnego romansu na boku.

Niemożliwe, żeby to był Julius Marr. Przedstawiła się przez telefon jako Stephanie, dla bliskich Stevie, powiedziała, że pracuje jako recepcjonistka w przychodni. Głos nie wydał jej się znajomy. Poza tym nie umówiłby się z nią, wiedząc, że to ona. Po co miałyby się pakować w taką kabałę?

Tymczasem Julius odwrócił się nagle i musiała do niego podejść.

- Czekają pani na kogoś? - spytał.

- Tak. A pan?

- Owszem. - Znów spojrzął na zegarek. - Ale ta osoba się spóźnia.

- Mój towarzysz też.

- No to może się napijemy?

- Chętnie - wypaliła, ale po chwili namysłu dodała: - Tylko jeżeli będę siedziała z panem, to mój towarzysz nie pozna, że na niego czekam. Będzie szukał osoby siedzącej samotnie.

- Czy ten... - Wytrzeszczył oczy, a Stevie aż się skuliła ze wstydu. - Czy ten mężczyzna nie wie, jak pani wygląda?

- Tak, bo to randka w ciemno - przyznała, czując się ogromnie nieswojo. - On nic o mnie nie wie.

- W takim razie - rzekł poważnie, bez krztyny rozbawienia bądź dezaprobaty - może i ma pani rację. Proszę usiąść samej. Nie chciałbym pani zepsuć wieczoru.

- No tak...

Bóg mi świadkiem, że wolałabym go spędzić z tobą...

- Ale ślicznie pani wygląda. - Jego oczy zapłonęły no-

wym blaskiem, lecz Stevie była zbyt speszona, żeby się nad tym głowić. - Chciałem to pani powiedzieć wcześniej, ale nie miałem okazji.

- Dziękuję.

Podeszła do stolika i ustawiła krzesło tak, by nie siedzieć do niego tyłem, ale móc nadal widzieć go kątem oka. Po chwili młody kelner w czerni postawił przed nią duży dzin z tomkiem i poinformował:

- To od tego pana przy barze.

Uśmiechnęła się do doktora Marra, który uniósł kieliszek w jej stronę, a potem czekała w nieskończoność. On też. Wreszcie podszedł do niej z niemal opróżnioną szklanką.

- Chyba nas wystawiono do wiatru - powiedział.

- Na to wygląda - przyznała, a w duchu odczuła ulgę.

Julius usiadł, odstawił szklankę.

- Jego strata. Ale nastawiała się pani na wieczór z interesującym mężczyzną. Czy pani sądzi, że mógłbym go godnie zastąpić?

Spojrzała w jego stalowoszare oczy i odpowiedziała:

- Dziękuję, panie doktorze. Jak najbardziej.

- Stawiam jeden warunek - odezwał się stanowczo. - Jeżeli jeszcze raz zwrócisz się do mnie per „panie doktorze”, to natychmiast poproszę o rachunek! Na imię mam Julius, zresztą Ros i cały personel mówią mi po imieniu, chyba że w pobliżu są pacjenci.

- Julius...

Wpatrywał się w jej usta, gdy wymawiała jego imię, a potem już poszło gładko. Wieczór okazał się czarujący, Julius nadzwyczaj szarmancki. Ani razu nie zająknął się na temat owej anonimowej kobiety, która się nie zjawiała, ani owego tajemniczego towarzysza Stevie, który zapewne przemyślał dogłębnie plan skoku w bok.

Stevie niczego nie robiła połowicznie. W tej chwili reszta świata w ogóle dla niej nie istniała. Spotykając się ze Stuartem i Chrisem, zaplanowała, że nie zostaną na kolacji w „Bravos”, nawet gdyby przypadli sobie do gustu. Restauracja ta była elegancka i droga, a Stevie nie chciała wzbudzać podejrzeń, że od początku zamierza naciągnąć partnera. Gdyby któryś z nich zaprosił ją na kolację, zaproponowałyby skromniejszą włoską knajpkę nieopodal.

Julius natychmiast odrzucił tę sugestię władcym tonem. Wieczór jest chłodny, a zapowiadają deszcz. Po co mieliby się przenosić? Tym bardziej że kuchnia tu jest bardzo dobra.

Nie wypadało jej się klócić. Popijała więc białe wytrawne wino, delektując się faszerowanymi pieczarkami, cesarską sałatką, fettuccine z krewetkami w śmietanie, a na deser tortem czekoladowo-orzechowym i kawą.

Najbardziej jednak sobie ceniła towarzystwo Juliusa. Polubiła go jako lekarza mamy, potem zadurzyła się w nim, gdy stał się jej kolegą z pracy, ale dopiero teraz zakochała się w nim na zabój.

- Gdzie pracowałeś przed ośrodkiem w Southshore? - spytała w pewnej chwili.

- W izbie przyjęć szpitala w Southshore - odparł ku jej zaskoczeniu. - Przez rok odświeżałem swoje umiejętności praktyczne. Bo przedtem przez dwanaście lat zajmowałem się pracą naukową na Uniwersytecie Sydney i nie miałem kontaktu z pacjentami.

- To chyba dość poważna zmiana: od specjalistycznych badań naukowych do takiego ośrodka jak nasz.

- Nasz? - podchwycił z uśmiechem. - Więc zaczynasz się z nim identyfikować?

- Tak, uwielbiam go. Odprężyłam się i już sobie radzę.

- To znakomicie. Owszem, to była spora zmiana. Zdecydowałem się na nią świadomie.

- Dlaczego?

- Bo przestałem się sobie podobać - odparł poważnie.

- Nie wysuwałem nosa spoza pracy. Zapomniałem, że medycyna powinna służyć ludziom. Nie miałem żadnego życia poza laboratorium i gabinetem na uczelni. Nie miałem czasu dla nikogo, a tego nie da się potem odrobić. Przez dłuższy czas zdawało mi się, że... - Urwał i potrząsnął głową.

- Że co... ? - podchwyciła, ale on znów potrząsnął głową.

- Nie. Nie chcę cię w to wciągać. Było, minęło, nigdy nie żałowałem tej decyzji. Przejrzałem na oczy.

- I nie masz już kontaktu z badaniami naukowymi?

- No, niezupełnie. Jakiś mam. Czasem aż za duży! -

Uśmiechnął się cierpko, jakby aluzyjnie. - Wciąż nad tym pracuję. Za kilka miesięcy wszystko się uładzi. Przepraszam, jeśli czasem wydaję ci się zbyt roztargniony, ale to przez te nie załatwione sprawy.

- A może chcesz o nich porozmawiać? - zaproponowała, mając w głowie domysły Ros Reynolds na ten temat.

- Nie, bo to mój problem. Tylko proszę cię, nie rozpowiadaj o tym w pracy. - Spojrzał jej w oczy, szukając potwierdzenia.

Skinęła głową.

- Ależ oczywiście.

- Bo nie chciałbym nikogo skrzywdzić, a mogłoby się tak zdarzyć, gdybym powiedział osobom trzecim o słowo za dużo.

Kelner przyniósł kolejną kawę. Julius podniósł filiżankę, czując ulgę, że może zmienić temat. Stevie zresztą też, gdy więc spytał, jak Lizzy radzi sobie przy garach, opowiedziała mu o kowbojskim weselu sprzed trzech tygodni, podśmiewa-

jąc się może niezbyt ładnie z ogromnego tortu w kształcie siodła i z dwunastu drухen w kowbojskich strojach a la Annie Oakley.

- Musiało to być huczne weselisko! - skomentował.

- Żebyś wiedział! A sądząc po panującym zgiełku i ognistych tańcach, chyba wszyscy świetnie się bawili. Musiałyśmy aż dwa razy bisować. Omal nie zdarłam głosu.

- A skąd wzięłyście taką dziwną nazwę? - zaciekał się.

- Podsunął ją nam Pete, były mąż Liz, chociaż nieświadomie. Ćwiczyłyśmy u nich domu, kiedy jeszcze byli małżeństwem, a myśmy nie występowały jeszcze publicznie. Wszedł do pokoju i powiedział: „Wiecie, co mi to przypomina? Lizzy przy garach, kiedy śpiewa podczas gotowania, pobrzękując rondlami i patelniami”. Najpierw napisałam piosenkę z tymi słowami. Słyszysz, jak dobrze brzmią? A potem uznaliśmy, że to kapitalna nazwa zespołu.

- Zgadzam się. Ten Pete musi mieć łeb na karku.

- Zaraz! Chwileczkę! - obruszyła się. - Przecież on to tylko powiedział! To my dopatrzyłyśmy się w tym potencjału.

Roześmiali się, po czym Julius rzekł poważnie:

- Pewnie mama się cieszyła, że masz coś takiego.

- To prawda - potwierdziła. - Chętnie zostawała sama, kiedy miałam występ. Wcześniej wszystko jej przygotowywałam i prosiłam sąsiadkę, żeby zajrzała do niej. Ale najczęściej odbywałyśmy próby u mnie, no więc nie musiałam wychodzić. A mama uwielbiała nas słuchać.

- Wyobrażam sobie.

- I nie zamartwiała się, że jestem z nią uwiązana w domu, bo wiedziała, że spełniam się pod innymi względami.

- I wystarczyło ci to, Stevie? - spytał tym swoim niskim, rozedrganym głosem, który tak bardzo jej się podobał. - Od dawna się nad tym zastanawiam.

Wbiła wzrok w filiżankę.

- Niezupełnie - przyznała. - Zwłaszcza teraz, kiedy jej nie ma. Nie, „Lizy przy garach” przestała mi wystarczać.

Przykrył jej dłoń swoją i przebiegł palcem po jej kostkach, a potem po niebieskich żyłkach widocznych pod delikatną skórą.

- A ostatnio zastanawiam się jeszcze nad jednym... Czy pozwoliłabyś mi podjąć się wypełnienia tej luki?

RS

Rozdział czwarty

Nie musiała nawet odpowiadać. Zdradziły ją oczy. Julius przechylił się przez stół i musnął wargami jej usta. Chyba trudno o krótszy pocałunek, zdążyła pomyśleć, a wtedy Julius mruknął coś zmysłowo i wrócił po więcej. Tym razem była przygotowana. Jego usta pachniały kawą, czekoladą i winem. Otarł się szorstko policzkiem o jej podbródek. Pochwyciła nikły „drewniany” zapach jego wody po goleniu i poczuła łaskotanie jego rzęs, kiedy przekrzywił głowę, by pocałować ją inaczej, po czym wolniutko się od niej odsunął.

- Nie tutaj - szepnęła. - Chodźmy stąd...

Skinęła bez słowa głową, przejęta obezwładniającym uczuciem. Była pewna, że zadurzyła się jak idiotka, a tu proszę, on czuje coś podobnego!

Wyszli z restauracji, trzymając się za ręce. Nogi jej się trzęsły, tak, że potrzebowała jego wsparcia. Na dworze spytał:

- Masz tu samochód?
- Nie. Zamierzałam wrócić taksówką.
- To świetnie. Czyli pojedziemy razem.
- A dokąd? - To pytanie wypadło tak prowokacyjnie, że najchętniej ugryzłaby się w język.

On jednak odpowiedział bez wahania.

- Do ciebie. Zaprosisz mnie? Bo chyba nie jest za późno? Chętnie spędzę z tobą jeszcze kilka godzin.

Nie kryjąc zadowolenia, przytaknęła. Kiedy znów jej do-

tknął, tuż po wejściu do ciemnego domu, nadal drżała, lecz gdy usiłowała znaleźć włącznik światła w korytarzu, chwycił ją za rękę.

- Nie, nie - poprosił. - Tak jest miło. Chciałbym cię pocałować po ciemku...

Ten pocałunek roznamiętnił ją dziesięć razy bardziej niż tamten w restauracji. Julius był znacznie potężniejszy od niej, musiał się więc nad nią pochylić. A kiedy już zabrakło jej tchu, chwycił ją w pasie i uniósł do góry. Teraz więc ona pochylała się z kolei nad nim, śmiejąc się, przeczesując palcami jego gęste włosy, ujmując jego szorstkie policzki w dłonie. Gdy w końcu postawił ją na ziemi, zapytała:

- Na co miałbyś ochotę? Może na kakao? Albo jeszcze wino?

- Nic - odparł. - Chciałbym się tylko zapaść na tej wygodnej kanapie i trzymać cię bez końca w ramionach.

I tak siedzieli, całując się na przemian i oddając rozmowie. Minęła jedenasta, wpół do dwunastej, północ... gdy wtem dostrzegła, że oczy aż błyszczą mu ze zmęczenia, a skóra prześwieca w ich kącikach.

- Jesteś zmęczony.

- Przepraszam. - Zamrugał, przetaił oczy. - Widać?

- To ja powinnam przeprosić. Trzymam cię tu tak bardzo długo...

- Chcesz powiedzieć, że mnie więzisz? Wbrew mojej woli?

Roześmiała się.

- Niby nie, ale... - Urwała, wzięła głęboki oddech. - Jeśli masz ochotę, to...

Możesz zostać. Spać ze mną, dokończyła w myślach. Nigdy przedtem żadnemu mężczyźnie nie złożyła takiej propozycji. Spała z Grantem po zaręczynach, ale to on zawsze

występował z inicjatywą, a ona go tylko hamowała. Dlatego taka zachęta wobec Juliusa, którego tak krótko znała...

Chociaż to nieprawda. Znała go dobrze od roku. Pomógł jej w ostatnim okresie życia i po śmierci mamy. Przyszedł na pogrzeb. Załatwił jej pracę, a teraz od pięciu tygodni widuje go niemal codziennie w ośrodku. Mimo to uznała, że postępuje zbyt pochopnie. Na szczęście on się nawet nie domyślił jej intencji.

- No dokończ, żebym nie peszył się jutro na twój widok w pracy. Kiedy znów się zobaczymy tak jak dziś?

- Jutro wieczorem? - spytała słabo.

Nie było sensu udawać kobiety niedostępnej. Już i tak w trzech czwartych ją zdobył i powinien o tym wiedzieć.

Zjednał ją sobie otwartością.

Oczy zapalały mu występnie.

- To znaczy w czwartek? Czy w piątek?

- W czwartek.

- Czyli właściwie dzisiaj...

- Może być?

- Wspaniale... - Obsypał pocałunkami jej szyję, po czym skubnął płatek jej ucha. - Tyle że do późna będę zajęty.

- Ja też - przypomniała sobie. O wpół do ósmej był kurs dla palaczy zrywających z nałogiem, a potem jeszcze dyżur lekarski. O dziewiątej Stevie zamykała ośrodek. - Prowadzisz ten kurs czy...?

- Nie - przerwał jej prędko. - Będę pracował w domu na komputerze. Podjechać po ciebie o dziewiątej?

- Tam czy tu?

- Gdzie wolisz. - Mówiąc to, przyjrzał jej się bacznie.

- Chyba w domu - odparła. - Bo nie chcę...

- Rozumiem - podchwycił. - Nie musimy się z tym od razu obnosić.

A ja bym chciała, pomyślała Stevie. I nie wiem, czy się powstrzymam, bo szczęście mnie dosłownie rozpiera!

Personel ośrodka najwyraźniej był mało spostrzegawczy, bo nikt nazajutrz nie zauważył gwiazd w oczach Stevie ani też tego, że unosiła się nad ziemią. Julius jednak to dostrzegł. On też miał szczęście w oczach - a w każdym razie miałby, gdyby nie malowało się w nich takie zmęczenie.

- Chyba nie usiadłeś po wczorajszym spotkaniu do pracy? - zbesztła go cicho podczas króciutkiego sam na sam w jego gabinecie. Żadne z nich nie odważyło się dotknąć drugiego, ale trudno było nie zauważyć, jak bardzo on miał na to ochotę.

- Usiadłem, ale nie na długo.

- Wszystko jest za długo, kiedy wracasz do domu za kwadrans pierwsza, a zaczynasz pracę wpół do dziewiątej rano!

Czy aby nie zachowuje się zbyt zaborczo, zupełnie jak żona? Jemu jakoś to nie przeszkadzało, lecz ona zlekła się, że za bardzo się zaangażowała.

Tuż po lunchu zjawił się u Juliusa Stan Truesdale. Tym razem był umówiony. Wyglądał znacznie lepiej niż przed kilkoma tygodniami. Był schludnie ubrany, ogolony, a siwe włosy miał porządnie wyszczotkowane. Wyszedł od lekarza jak na skrzydłach i chętnie podzielił się szczegółami ze Stevie, którą zapamiętał z pierwszego spotkania.

- Wysłała mnie do urologa. Sądzi, że trzeba będzie boro-
wać - relacjonował.

Stevie wprawdzie to interesowało, ale jednocześnie próbowała umówić innego pacjenta na wizytę i odebrać telefon. Panu Truesdale wcale nie przeszkadzało, że mogą ich usłyszeć dwie inne osoby.

- Borować? - powtórzyła ze zdziwieniem. Urolog miał-

by wykonywać pracę stomatologa? To jakaś bzdura! Przecież pan Truesdale ma kłopoty z prostatą.

- I owszem - odparł. - Chociaż nie, on to jakoś inaczej określił. O, już wiem! Kalibrować! - wykrzyknął z satysfakcją, po czym wyszedł uszczęśliwiony.

Stevie nie podzielała jego optymizmu. Miała więc zboląłą minę, gdy chwilę później poczuła, jak muska ją Julius, sięgając jej przez ramię po kartę następnego pacjenta.

- Pan Truesdale pracował jako hydraulik - mruknął. Był tak blisko, że czuła jego ciepło.

- Hydraulik?

- Tak. Dlatego perspektywa kalibracji w celu usunięcia ucisku gruczołu krokowego na pęcherz moczowy trafiła mu od razu do przekonania. Coś w rodzaju przepychania rury.

- Trochę to nazbyt obrazowe dla tych z nas, którzy nawet nie mają prostaty...

- W dzisiejszych czasach to bezproblemowy zabieg. Wykona go urolog w szpitalu w znieczuleniu dołędźwiowym, bez konieczności otwierania jamy brzusznej. Następnie poleży z cewnikiem kilka dni, a jeśli nie będzie krwotoku, to go wypiszą. Ostateczne wygojenie potrwa kilka tygodni, a potem pacjent odczuje wyraźną poprawę.

Wziął kartę, po którą przyszedł, i wezwał kolejnego pacjenta. Odprowadziła go wzrokiem.

Pod wieczór mieli drobną sytuację awaryjną.

- Chyba jakieś trzy kilo - oznajmił Julius pierworódce, kiedy otwierał przed nią drzwi gabinetu już po wizycie.

- Założy się pan? - spytała. - Bo moim zdaniem jest o wiele cięższe, a termin mam dopiero za trzy dni. Jeśli przynoszę...

- Pani Robertson, żaden lekarz z odrobiną oleju w głowie nie robi zakładów w sprawach porodu - odparł.

I wtedy, jakby w dowód prawdziwości jego słów, coś nagle chlupnęło pomiędzy jej nóg, po czym istna fontanna zalała jej obszerną białą suknię ciężową i utworzyła kałużę na podłodze.

- Czy to... czy to są...

- Wody płodowe - potwierdził spokojnie. - Sama pani przyjechała?

- Tak.

- A pani mąż jest uchwytny?

- Wpół do ósmej ma przylecieć samolotem do Melbourne.

- Bo nie powinna pani jechać teraz sama do domu.

- Do domu?

- Po rzeczy osobiste - wyjaśnił. - Powinna pani jak najprędzej znaleźć się w szpitalu, ale jest czas na krótki wypad do domu. Tyle że pani nie może prowadzić. Po odejściu wód natychmiast mogą się zacząć skurcze, i to dość silne.

- Jak... - Objęła swój rozdęty brzuch. - Auuu!

- Właśnie takie - potwierdził. - I co, Stevie? A może Cathy? Albo Anna?

- Tak, panie doktorze - zgłosiła się Stevie, pochwyciwszy błysk w jego oku przeznaczony wyłącznie dla niej. Była świadoma rozgrywającego się obok dramatu.

- Prowadziłaś kiedyś...?

- Mitsubishi pajero z automatyczną skrzynią biegów - powiedziała pani Robertson.

- Nie - przyznała wesoło Stevie. - Ale na pewno sobie poradzę.

- To świetnie. Bo chciałbym, żebyś zawiozła panią.

Pierwsza połowa drogi minęła gładko. Po kilku skrętach i skrzyżowaniach ze światłami Stevie opanowała sytuację, a o czwartej po południu ruch dopiero się nasilał. Podjechała

pod same drzwi domu pani Robertson, zaczekała na białym stiukowym ganku, aż ta wyszła ze szpitalnym neseserem, spakowanym przezornie zawczasu. Wydał jej się ciężki.

- Może ja wezmę, pani Robertson - zaproponowała.
- Proszę mi mówić Deirdre!
- Bardzo mi miło.
- Dziękuję, bo jest dość ciężki, a już czuję następny

skurcz...

Znów złapała się za brzuch i zgięła w pół, omal nie potykając się na stopniu. Nacisk kurczącej się macicy wydusił z niej dalszą porcję wód płodowych. Tym razem jednak nie były bezbarwne. Stevie wzięła neseser i patrzyła z trwogą, jak po białej sukni rozlewa się zielona plama. Kolor wydał jej się niepokojący. Czyżby to był zły znak?

Deirdre niczego jednak nie zauważyła i gramoliła się do auta. Stevie zaczęła gorączkowo myśleć, rzucając neseser na tył i siadając za kierownicą. Za radą Ros przez ostatnie tygodnie każdą wolną chwilę w ośrodku poświęcała na czytanie broszur informacyjnych, w tym także na temat ciąży. Była prawie pewna, że wody płodowe wyglądają inaczej.

Ale nie będę niczego mówić. Może się mylę. Obym się myliła. Zwłaszcza że przy rodzącej nie ma męża. Wystarczy dodać gazu!

Deirdre była zbyt zajęta sobą, by zauważyć gwałtowne zmiany pasów i ruszanie jak z kopyta na każdym świetle.

- Wiesz, gdzie się znajduje oddział położniczy i pod które wejście najlepiej podjechać? - spytała Stevie przed szpitalem.

- Ja nie idę na zwykły oddział położniczy - oznajmiła Deirdre, chwytając oddech - tylko na oddział naturalnych porodów. Znajduje się w drugim skrzydle. Tam są tylko położne, a nie ma lekarzy. Gdyby wynikły komplikacje, mogą mnie zaraz przenieść...

- Wolę cię odstawić na oddział położniczy - uparła się Stevie i zahamowała z piskiem opon przed wejściem na ostry dyżur. - Skoro przyjechałyśmy tak nagle, musisz się zarejestrować... i w ogóle.

Wyjaśnienie wypadło blado, ale nie chciała straszyć rodzącej swoimi mglistymi domysłami. Wiadomości zapamiętane sprzed lat potwierdzały jej obecny niepokój. Na szczęście Deirdre miała kolejny skurcz i się nie sprzeczała. Kiedy Stevie pomagała jej wysiąść z samochodu, podszedł sanitariusz z wózkiem inwalidzkim:

- Na porodówkę?

- Tak.

- Nie, mylisz się! - krzyknęła Deirdre z oburzeniem, patrząc na Stevie. Skurcze znów się nasiliły. - Co za tępota! Proszę mnie zabrać na oddział porodów naturalnych.

- Stąd też tam można dojechać - odparł sanitariusz i włożył ją na wózek do środka.

Skazawszy samochód pani Robertson na niemal pewny mandat za złe parkowanie, Stevie wpadła do środka i złapała jakąś kobietę, z nadzieją, że trafi na pielęgniarkę.

- Ta kobieta - rzuciła bez tchu - chce, żeby ją zawieźć na oddział porodów naturalnych, ale chyba niesłusznie. Ma sukienkę poplamioną wodami płodowymi na zgniłozielony kolor, więc coś mi tu nie gra. Chyba dziecko jest zagrożone.

Kobieta w kitlu istotnie okazała się pielęgniarką. Odstawiła wózek i wesoło poprosiła Deirdre, by wstała. Rzuciła tylko okiem na sukienkę, po czym donośnie poprosiła o nosze i nacisnęła guzik windy na piąte piętro.

- Co się dzieje? Dlaczego nikt mnie nie słucha? - pytała Deirdre poirytowana.

- Kochanie - uspokoiła ją siostra - nic się nie martw.

Wieziemy cię na górę, bo musi cię zobaczyć lekarz. Może trzeba będzie przyspieszyć poród.

Deirdre wybuchnęła płaczem.

- Pani z nią przyjechała? Jej pani krewną? - spytała Stevie młoda pielęgniarka o kanciastych ramionach.

- Nie, jestem tylko recepcjonistką z ośrodka zdrowia...

Przyjechała winda i nikt już nie słuchał Stevie. W tych okolicznościach trudno się było dziwić. Muszę przestawić samochód, myślała. Ładną chwilę szukała parkingu dla gości, a potem musiała wrócić do głównego gmachu. Na oddziale położniczym pielęgniarka najpierw nie chciała jej udzielić informacji.

- Ale kim pani jest? Krewną? - dociekała.

Musiała wyjaśnić, a pielęgniarka, strzegąc chwalebnie prywatności pacjentki, zadzwoniła do ośrodka, żeby się upewnić. I świetnie, bo w ten sposób Ros dowiedziała się, co zatrzymało Stevie.

- Właśnie jej robią szybką cesarkę - wyjaśniła wreszcie pielęgniarka. - Miała szczęście. Czasem smółka nie oznacza kłopotów, ale tym razem... Doktor Blair już miał wychodzić, ale posłuchał tętna dziecka i natychmiast wziął ją na stół. Nie było czasu na epidural, więc zrobili znieczulenie ogólne.

- Przeżyje zawód. Nastawiała się na poród siłami natury.

- Wiem, ale sytuacja była krytyczna.

- A z dzieckiem wszystko dobrze? Zaraz po powrocie do ośrodka spróbuję się skontaktować z jej mężem. Gdyby były jakieś dobre wieści... Bo on jest w Melbourne.

- O dziecko proszę pytać doktora Blaira. To właśnie on.

- Czyli już po wszystkim? Jest dziecko? Tak szybko!

- Nie było wyjścia. Panie doktorze... - Siostra Muir szybko przedstawiła sytuację lekarzowi, który zwrócił się do Stevie:

- Jest chłopiec - oznajmił z uśmiechem.

Upojona tą informacją, spytała:

- A co powiedzieć ojcu, jeśli uda mi się z nim skontaktować? Czy dziecko jest zdrowe?

- Jak najbardziej. Wyjęliśmy go na czas. Waży przeszło trzy kilo. - Więc Julius ma dobrą wagę w rękę. - Oddech, odruchy i zabarwienie skóry w normie. Wypompowaliśmy mu też płyn owodniowy z tą smółką z płuc, bo mógłby mu zagrażać nawet po porodzie. Oto moja wizytówka. Niech pan Robertson do mnie zadzwoni, gdy tylko pani się z nim skontaktuje. Jego żona była bardzo zdenerwowana przed uśpieniem.

- Wiem.

Lekarz zaczął się oddalać korytarzem wielkimi krokami. Ledwo zdążyła przeczytać na plakietce identyfikacyjnej jego nazwisko: Alan Blair. Jak na skrzydłach pokonała pięć minut drogi ze szpitala do ośrodka, lecz Juliusa już nie zastała. We wtorki często kończył wcześniej.

To idiotyzm, by czuć z tego powodu zawód. Ros zauważyła cień na twarzy Stevie. Uznała, że to pewnie kłopot z dzieckiem pani Robertson.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. Coś poszło nie tak?

- Nie, dziecko jest zdrowe - zapewniła ją Stevie.

- To skąd ta mina?

- A, bo chciałam złapać jej męża, a nie wiem jak - wymyśliła na poczekaniu.

- On jest naszym pacjentem. Spróbuj w kartotece - podsunęła Ros. - Powinien być telefon do pracy. Może mają zamiary na niego w Melbourne.

Recepcjonistka w biurze Seana Robertsona miała numer jego telefonu komórkowego i chętnie jej go podała. Stevie złapała Seana tuż po konferencji. Aż zaniemówił z wrażenia,

przez chwilę szukał kartki i długopisu, żeby zapisać numer Alana Blaira, a potem dodał z przejęciem:

- Muszę złapać wcześniejszy samolot!

Trzy godziny później, podczas wieczornego dyżuru, pan Robertson zadzwonił ponownie, tym razem ze szpitala.

- Mam pięknego syna, pani Reid - pochwalił się Stevie.

- Damy mu na imię Lachlan. Przekazuję słuchawkę Deirdre, bo chciałyby pani podziękować.

- Największe podziękowanie to wiadomość o zdrowym dziecku - odparła szczerze Stevie.

- Wiem, ale podobno mogłoby się to źle skończyć, gdyby nie zaalarmowała pani personelu. Bardzo jesteśmy wdzięczni.

- To nic takiego... - zaczęła Stevie, ale jej przerwał.

- Jeszcze tylko jedno. Nie wie pani przypadkiem, gdzie się podziały kluczyki do samochodu Deirdre?

- Och, przepraszam. Wciąż są u mnie w kieszeni!

Ponieważ do wieczora nie mogła opuścić ośrodka, a nie chciała odciągać świeżo upieczonego ojca od żony i dziecka, zaproponowała, że podrzuci mu te kluczyki po pracy. Nie zdąży więc na spotkanie z Juliusem dwadzieścia po dziewiątej.

Sama myśl o tym, że Julius odejdzie z kwitkiem spod jej drzwi, sprawiła jej przykrość. Oj, to już naprawdę niebezpieczne! Szybko się jednak otrząsnęła i czekała na koniec wizyt. Dopiero kiedy byli palacze zebrali się w sali konferencyjnej z doktorem McKinnonem, znalazła numer pagera Juliusa.

Oddzwonił po pięciu minutach i zaproponował:

- W takim razie spotkajmy się w szpitalu u pani Robertson. Chętnie jej pogratuluję i zobaczę dziecko... -Tu ściszył głos. - A poza tym nie chcę czekać jeszcze pół godziny, żeby zobaczyć ciebie.

- Wiem - podchwyciła. - Bałam się, że w ogóle się mi-
niemy.

- Za nic bym do tego nie dopuścił.

Jego niski głos zabrzmiał jak pieszczoła, lecz wtedy Stevie usłyszała wyraźnie w oddali głos kobiety:

- Kyle, Lauren, do łóżek!

- Więc... za trzy kwadransy? - mruknął Julius, nie ko-
mentując tych hałasów. - Nie mogę się doczekać.

- Ja też - szepnęła Stevie, ale raptem zaczęła się trząść.

Twierdził, że popracuje w domu na komputerze. Wyobra-
żała sobie kawalerską kolację, samotny wieczór, który chcia-
ła mu osłodzić swoim kobiecym ciepłem. Ale on wcale nie
był sam, a jeśli to jest „dom”, to kto z nim mieszka? Żona
i dzieci. Tylko taki wniosek można było wysnuć z tych kilku
słów wykrzyczanych przez kobietę: „Kyle, Lauren, do
łóżek!”

Ziarno niepewności zostało zasiane. Na szczęście Stevie
całkiem je zlekceważyła. Można jest jakieś niewinne wyjaś-
nienie... ale nie będę się dopominała.

Zwróciła kluczyki panu Robertsonowi i zachwycała się
dzieckiem, kiedy wszedł Julius.

- Inaczej to planowaliśmy, Deirdre - powiedział świeżo
upieczonej mamie - ale za kilka dni, kiedy dojdiesz do
siebie, przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Już nie ma - odparła, wciąż nieco oszołomiona po nar-
kocie. - Wprawdzie wszystko mnie boli, ale on jest taki
śliczny...

Julius i Stevie spędzili jeszcze chwilę z dumnymi rodzi-
cami, po czym wyszli, odprowadzani podziękowaniami. Kie-
dy zostali sam na sam, wątpliwości Stevie się rozwiały. Julius
patrzył na nią pożądliwie, a odgarniając pasmo jej kasztano-
wych włosów z twarzy, spytał:

- Wszystko w porządku? Bo taka byłaś spięta.
- W porządku. Jak praca?

Skrzywił się.

- Strasznie się wlecze! Próbuję wykroić osiem artykułów z masy danych zebranych w ciągu siedmiu lat, ale nie idzie mi łatwo. Nie każ mi o tym mówić!

- Dobrze - zgodziła się, podchodząc do niego w zjeżdżającej windzie, by wygładzić mu zmarszczki na czole.

- Stevie! - Oplótł ją ramionami. - Wiesz chyba...

- No co?

- Już nic! Jeśli mi pozwolisz, to nieprędko dam ci zasnąć.

- To cudownie. Chcę jutro ziewać przez cały ranek!

Najpierw zabrał ją na kolację do miłej knajpki w Paddington, gdzie grał zespół, a potem skoczyli nad zatokę Watsona, żeby pooglądać księżyc nad morzem i napawać się sobą pod osłoną skał.

Nie rozmawiali wiele. Gdy potknęła się na skalistym wyście, złapał ją i szepnął:

- Uważaj... - Przytulił ją, przejechał ręką po plecach i spróbował ją pocałować, po czym oboje roześmiali się z własnej niezdarności, kiedy ona dziobnęła go ustami w... podbródek.

Po północy przywiózł ją do domu, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, oświadczył z powagą:

- Tylko mnie nie zapraszaj, Stevie. Jest za późno, a ja za bardzo cię pożadam. Spotkajmy się znów w sobotę.

- Jestem wolna - odparła z przejęciem. - W niedzielę po południu występujemy, ale przez cały weekend nie mamy prób.

- To świetnie! - powiedział.

Po jego wyjściu wyrzucała sobie nadgorliwość. Pewno uzna, że zmieniłam wszystkie plany, byle tylko się z nim spotkać.

Tymczasem w piątek po pracy przypomniała sobie z wyrzutem listy od mężczyzn otrzymane przez biuro matrymonialne. Nadal leżały w szufladzie jej biurka, łącznie z tym podpisanym: „John” i dopiskiem jej ręką: „Drink, środa, 5.45.”

Najchętniej wyrzuciłaby wszystkie do kosza, lecz wtem odezwał się w jej głowie alarm.

- Uważaj, Stevie - przestrzegła się na głos. - Jeżeli się za bardzo zaangażujesz, możesz wszystko zepsuć!

Zmusiła się więc, żeby zadzwonić do „Johna” do pracy i po przywitaniu spytała wesoło:

- No i co? Rozminęliśmy się?

- Nie mogę teraz rozmawiać - odpowiedział spiętym głosem.

Zacisnęła usta i idąc za głosem intuicji, spytała chłodno:

- Bo jest przy tobie żona?

Chwila milczenia, a potem:

- Tak. A jak zgadłaś? - Tak go to zdumiało, że nie próbował pokrętnych wyjaśnień.

- Niektóre taktyki łatwo przejrzeć na wylot - odparła chłodno. - A więc twoja żona też nie ma chyba złudzeń...

Mężczyzna trzasnął z hukiem słuchawką. Stevie zmięła jego list w kulkę i spojrzała na stosik z ciężkim sercem. Może nie powinnam zamykać sobie drzwi, pomyślała. Ale nie mogę, skoro kocham Juliusa.

Pod koniec następnego tygodnia czuła, że niebawem pójdzie z nim do łóżka. Całą sobotę spędzili razem, zajęci bez reszty sobą, chociaż właściwie nic nie robili. Julius przyszedł przed obiadem, zrobili wspólne zakupy, urządzili sobie wykwinny piknik w ogrodzie za domem, wylegując się na niebieskim kocu wśród późnych róż mamy.

- Przyjemnie się robiło razem zakupy - pochwalił, no więc znów ruszyli do miasta.

Snuli się po galeriach sztuki i sklepach z antykami na wschodnich przedmieściach. Nieważne, że niczego nie kupili. Na tyle się zmęczyli i zgłodnieli, że znów wrócili do niej, gdzie zjedli chińszczyznę na wynos i obejrzel film wideo z wypożyczalni.

- Prawdę mówiąc, niewiele złapałam z fabuły - przyznała mu się potem, leżąc w jego ramionach na kanapie.

- Ja też...

Powiedział to sennym głosem, więc skarciła go łagodnie:

- Wracaj lepiej do domu, żebyś nie zasnął za kierownicą. Wiedziała tylko tyle, że mieszka w Surry Hills, dwadzieścia minut drogi od niej.

- To twoje ostatnie słowo? - Sens tych czterech lakonicznych słów był nadzwyczaj czytelny.

Musiała walczyć ze sobą, żeby utrzymać tę decyzję.

- Owszem - odpowiedziała z rozmysłem. - Ostatnie. Powiedziała to uprzejmie, lecz z wyraźnym ociąganiem.

Wielu mężczyzn uchwyliłoby się tej szansy i doprowadziło do jej szybkiej kapitulacji, ale nie Julius. Wrócił do domu bez słowa sprzeciwu, przez co ziarenko niepewności kiełkujące w zakamarkach jej głowy bardzo się skurczyło. Gdyby był żonaty i szukał romansu na boku, to parłby jak najszybciej do celu. Choćby tak jak ten „John”. A skoro czeka, aż będę gotowa, aż się lepiej poznamy, to chyba mu na mnie zależy.

Praca w tym tygodniu szła jej nie najlepiej. Wciąż coś ją rozpraszało. Zrozumiała, że nie mogłaby być lekarką. Emocje mam zanadto na wierzchu. Lekarz nie może sobie pozwolić na coś takiego. Julius był inny. Nikt by nie przypuszczał, że właśnie wdał się w nowy związek. Sprawdzał jak zawsze

sumiennie wyniki badań, od razu kontaktował się z pacjentami, jeśli tylko coś go zaniepokoiło.

Codziennie wieczorem wychodził z ciężką teczką i z tak samo ciężką zjawiał się nazajutrz rano. Wyraźnie brał mnóstwo pracy do domu. Stevie była trochę zazdrosna o tę część jego życia. Tak niewiele jej o tym mówił. Ale może to normalne. Nie znam się na tyle na medycynie, myślała, żebym była dobrą słuchaczką. Zresztą powinnam dać mu chyba odpocząć po pracy, a nie go nią zadreczać.

Wyobrażała sobie gorsze role w życiu niż partnerka inteligentnego lekarza. Taka, która łagodzi jego stresy, urządza mu życie poza pracą i dba o niego. Troska o niego bardzo ją pociągała.

Dlatego już niedługo, zapytana przez niego, czy może zostać na noc, odpowie „tak”.

Rozdział piąty

- Bardzo byłbym ci wdzięczny, Irene - powiedział, siłąc się na cierpliwość i uprzejmość - gdyby dzieci nie kręciły się nieustannie pod bokiem, kiedy musimy się spotkać.

Irene spojrzała na niego z wyrzutem.

- To byłby dla nich zawód, Jules.

Zwracała się tak do niego od lat. Prawie już zapomniał, jak bardzo nie lubi tego zdrobnienia.

- Nie widzisz, jak bardzo potrzebują ojca? Czyżby spotkania z nimi zabierały ci tyle czasu? - dodała chłodno.

Mógł na to odpowiedzieć na sto sposobów, ale się powstrzymał.

- Owszem, widzę, Irene.

Miał za sobą ciężki dzień. Kyle i Lauren niedługo pójdą spać, a wtedy omówi z Irene jeszcze jeden czy drugi drobniaczek i będzie wolny. Aż serce mu podskoczyło. Wolny na spotkanie ze Stevie! Irene zatrzymała go dłużej niż zwykle. Nawet wmusiła mu kolację, pysznego domowego kurczaka w sosie migdałowym, a zawsze była świetną kucharką.

Stevie grała dzisiaj z zespołem i będzie wolna dopiero po dziesiątej. Kiedy mu o tym powiedziała w czwartek, przeżył zawód. Ale teraz okazało się zbawienne, bo w przeciwnym razie pogodzenie kolacji ze Stevie i wymogów Irene mogłoby się skończyć katastrofą.

- Położę dzieci do łóżek - rzekła Irene. - Ale zajrzysz do nich za chwilę na dobranoc?

- Jak najbardziej - odparł, czując się jak obłudny drań, bo myślał tylko o tym, by się stamtąd wyrwać. Może o dziewiątej? Wiedział, gdzie gra „Lizzy przy garach”. Bardzo chciałby posłuchać, jak Stevie śpiewa...

Niestety. Wpół do dziewiątej Irene zawołała go do dzieci, no więc pooglądał trochę grę komputerową, wysłuchał opowieści o szkole, przytulił je, a kiedy zszedł na dół, okazało się, że Irene ogląda w telewizji swój tajemcowy serial policyjny.

- Musisz? - Teraz już nie krył zniecierpliwienia.
- Przecież wiesz, że to mój ulubiony film...
- Owszem, ale chyba czeka nas jeszcze... ?
- Odłóżmy to. Dość już decyzji podjęłam na dzisiaj.

Wstała, jak gdyby nagle czymś poirytowana, i zgasiła telewizor, chociaż przed chwilą twierdziła, że tak jej zależy. Przyciemniła światła i nałała mu wina, na które wcale nie miał ochoty. Wziął jednak kieliszek, żeby zająć czymś ręce, ale po chwili wyjęła mu go z dłoni.

- Julius... Och, Julius...

Powinien był to przewidzieć. Dwa kieliszki wina stały zapomniane na stoliku do kawy, a ona zarzuciła mu drżące ręce na szyję. Dopiero wtedy zauważył, że kiedy był na górze u Kyle'a i Lauren, zdjęła lekki wełniany zakieciak, a włożyła czarną jedwabną bluzkę na ramiączkach. Jej blade, silne ręce odbijały od atramentowej czerni.

Zawsze miała piękne ręce. Przez tyle lat te ręce urzekały go i rozpraszały. Zrozumiał, że przez cały ten czas była świadoma swojej emocjonalnej i zmysłowej władzy nad nim, toteż z niej korzystała... tak jak właśnie teraz.

- Julius - zamruczała ponownie, zupełnie jak kotka.
- Irene... -Nie chciał jej tak obcesowo odtrącać. W końcu przez tyle czasu taka mu się podobała.

A teraz chciała mu się oddać. Czuł to aż nazbyt wyraźnie. To nie był zdawkowy pocałunek w imię dawnej przyjaźni.

- Poczekaj chwilę - szepnęła. - Dzieci zasną i będziemy mogli pójść na górę. Wiem, że pragniesz tego...

Poruszył się i poczuł na sobie brzemię zmęczenia narastającego od kilku tygodni. Gdzie on jest? Nagie ciało miał okryte obcym prześcieradłem. Obok leżała kobieta z włosami rozrzuconymi na poduszce. No tak, przypomniał sobie, i znów zapłonął w nim ogień wczorajszego pożądania.

Przeciągnął się wolno i leniwie. Poczuł, jak zmęczenie ustępuje, a ogarnia go poczucie satysfakcji, spełnienia... Zdobądź się, do cholery, na szczęście! Przecież to szczęście! Leżąc u jej boku był przepelniony szczęściem.

Nie do wiary, jak skwapliwie ściągał z niej wczoraj wolnuiteńko ubranie, pieścił jej ciało, pożerał wprost jej usta, słuchał śmiechu i kocich pomruków, leżał przy niej, czuł ją pod sobą, wszedł w nią cały... I nagle, o wiele za wcześnie, poruszyła się, otworzyła oczy i przyłapała go na podglądaniu. Natychmiast się uśmiechnęła, senna jak kotka, a on odwzajemnił uśmiech.

- Dzień dobry, Stevie - przywitał ją.

- Cześć. - Cudowny głos, nieco ospały. - Dawno nie śpisz?

- Nie. Przepraszam, jeśli cię obudziłem. - Obudził, ale stwierdził w duchu, że żałuje z pobudek egoistycznych. Najchętniej przyglądałby jej się tak...

- Wcale mnie nie obudziłeś - sprostowała. - Chyba już późno. - Rzuciła okiem na budzik. - Co? Dziesiąta! Śpieszysz się gdzieś?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą.

- Więc zostaniesz na śniadanie?

- Już raczej z lunchem. Chętnie, ale trochę później.
- Może i z lunchem. - Zerknęła z ukosa, nie bardzo pojmując, w czym rzecz. - Weźmiesz prysznic?
- Nie, nie mam ochoty - odparł spokojnie.

Wziął prysznic poprzedniego dnia wieczorem w domu, zanim tu przyjechał. Wyszorował się dokładnie, obsesyjnie, żeby zmyć zapach Irene i ślad jaskrawego błyszczyka do ust, dlatego zjawił się tu tak bardzo późno. Stevie otworzyła mu drzwi, powstrzymując się od wymówek. Szybko mu jednak przebaczyła.

Około pierwszej poszli razem do łóżka. Ale teraz nie miał bynajmniej ochoty na prysznic! Choćby dlatego, że chciał zachować jej zapach na swojej skórze! Zrozumiała to dopiero teraz i zarumieniła się wdzięcznie.

- Aha... - skwitowała jego odpowiedź.

Po czym żadne z nich przez blisko godzinę nie powiedziało nic składnego... Kiedy leżała potem w jego objęciach, czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Zeszłej nocy, kiedy podjęła decyzję o zaproszeniu go na noc, miała nie lada tremę. Bo ten krok mógł jej przynieść wiele żalu, cierpienia, porażki.

Nigdy nie zgrała się z Grantem w łóżku, lecz wtedy zlekceważyła całą sprawę. Była za młoda, by zrozumieć, co to znaczy i jak wielkie poczyniło spustoszenia. Dzisiaj, po piętnastu latach, wiedziała, jaka to ważna dziedzina życia. Dlatego czuła, że jeśli nie połączy jej z Julusem ta najbardziej intymna więź, źle to wróży ich związkowi.

Po godzinie wszystkie jej obawy się rozwiały. Julius okazał się nadzwyczajnym kochankiem, Żarliwym, cierpliwym, czułym, śmiałym, wrażliwym, pomysłowym... Razem wzbili się na wyżyny namiętności, o której istnieniu nie miała pojęcia, a mimo to czuła się jedwabście.

A teraz, rano... jeśli to możliwe, było nawet lepiej. Poko-
nali poprzeczkę ustawioną wysoko w nocy. Bo już bez tej
wczorajszej tremy Stevie mogła zanurzyć się bez reszty
w zmysłowości, wzruszona jego dbałością o jej przyje-
mność. Wcale nie chciało jej się jeść. To ciepłe rozleniwienie
z Juliusem było wystarczającym pokarmem dla jej zmysłów.

W końcu jednak trzeba było wrócić na ziemię. Wysocy,
dobrze zbudowani mężczyźni, którzy spalają dużo energii
w łóżku, a nie jedzą od blisko dwunastu godzin, muszą
zголоdnieć.

Wrzucili coś na siebie i zaczęli krzątać się po kuchni.
Wycisnęli sok z pomarańczy, zaparzyli kawę, przygotowali
solidne śniadanie, czyli jajka na bekonie, parówki z pomido-
rami, smażone pieczarki, fasolkę i grzanki. Stevie zwietrzyła
możliwość gotowania dla kogoś, kto naprawdę lubi zjeść.

Po południu wybrali się razem na plażę Maroubra. Poszli
spacerem boso aż do Coogee i z powrotem, a fale na
mielżnie omywały im kostki. Zjedli lody w przybrzeżnym
parku i wrócili.

Już w domu przypieczętowali dzień kolejnym nie cierpią-
cym zwłoki porywem namiętności - Stevie nigdy przedtem
nie kochała się na dywanie - a potem Julius oświadczył ze
szczerem żalem:

- Stevie, muszę już iść. I tak za długo się zasiedziałem.
Czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy.

- Może mogłabym ci jakoś pomóc? - zaofiarowała się.
- Przepisać coś na maszynie albo...

Poczuła się idiotycznie, bo pokręcił głową i rzucił:

- Zanim ci wyjaśnię, to sam zrobię.

- To te twoje badania, prawda? A nie coś związanego
z ośrodkiem zdrowia? Czym się właściwie zajmujesz?

- E, na pewno cię to nie interesuje!

- Przeciwnie!
- Początkowo celem tych badań było wydzielenie genetycznych oraz środowiskowych przyczyn występowania pewnych chorób dziecięcych, ale w trakcie odkryliśmy, że... - Urwał i potrząsnął głową. - Błagam cię, nie każ mi o tym mówić!
- Jak wolisz.
- Bo teraz jestem taki...
- Otumaniony - dokończyła za niego. - Wiem. No to nie rozmawiajmy. Ale nigdy nie zakładaj z góry, że coś mnie nie interesuje, a gdybyś chciał porozmawiać, choćby coś z siebie wyrzucić...

Roześmiał się głucho.

- Kochana jesteś, Stevie.

I zaraz potem wyszedł, a w domu zapanowała pustka, gdyby nie wypełniły jej tak intensywnie jej myśli.

Zgodzili się co do tego, że nie będą trąbili w pracy o swoim związku. Stevie nie kwestionowała odczuć Juliusa, bo na tym etapie sama nie życzyła sobie ludzkiej ciekawości ani plotek, choćby najzwyklejszych. Nie mieli, oczywiście, żadnych powodów do tajemnic, lecz oboje zbyt cenili sobie ten nowy związek, żeby ryzykować.

Ale kiedy w środę Cathy Hong spytała Stevie, czy odpowiada jej nowa praca, usłyszała nadspodziewanie entuzjastyczną odpowiedź. Stevie zupełnie zapomniała - jeśli w ogóle zaznała tego z Grantem - co to znaczy być z ukochanym mężczyzną. Jak cudownie jest nurzać się razem w rozleniwieniu. Jak nagle wszystko się wyostriża i ukazuje w nowej perspektywie - zwykłe branie prysznica, zmywanie naczyń, czytanie gazety. Jak bardzo fascynuje poznawanie drugiej osoby - jej upodobań, pikantnych różnic, intrygujących punktów widzenia.

- Szkoda, że tak jesteś zajęty tymi swoimi badaniami
- powiedziała mu pewnego deszczowego wieczoru, kiedy leżeli w łóżku.

Zrobiło mu się nieswojo. Zmienił pozycję.

- Wiem. Ja też żałuję.
- Ale niedługo skończysz, prawda?
- Niedługo... - powtórzył. - Chociaż wolałbym mieć większą pewność. Musisz się nastawić, Stevie... że mogę złamać słowo.

Wtedy jakoś nic jej nie tknęło. Sądziła, że chodzi mu o zerwane spotkanie, przerwane w połowie kolacji, telefon zamiast umówionej wcześniej randki.

Ale po kilku dniach poszła po rozum do głowy.

Stało się to w piątek, kiedy znów się rozpadało, a nad Sydney zawisła groźba, że opinia tego słonecznego miasta spłynie z brunatną deszczówką do rynsztoka.

Mnóstwo ludzi zgłaszało się do ośrodka zdrowia z powikłaniami po przeziębieniach i po grypie. Wśród nich zjawiała się para starszych gejów, wyraźnie bardzo sobie oddanych. Jeden mówił o drugim „mój partner”. I wtedy Stevie oświeciło, że ostatnio ludzie często tak o sobie mówią, jeżeli nie mają ślubu, a pragną zakomunikować reszcie świata, że łączą ich poważny związek. W tym tygodniu już po raz trzeci usłyszała z ust pacjentów to określenie.

Mnie by to chyba nie wystarczało, pomyślała. Jakoś mi to brzmi obco, oficjalnie. A ja i Julius...

Obaj mężczyźni wyszli z receptami na antybiotyki i z silnym lekarstwem na kaszel, a potem zjawiała się biedna Sally Kitchin z trzymiesięcznymi już teraz trojaczkami. Sally nie chciała przyjąć oferty pomocy Stevie sprzed kilku tygodni. Zgodziła się jedynie na dwie godziny pomocy przy sprzątanii domu.

- Za tydzień wraca Michael. Naprawdę, Stevie, niczego mi nie trzeba - tłumaczyła wtedy.

Teraz mąż Sally znów wyjechał i trojaczki znów płakały chórem, głośniejszym i silniejszym od ostatniej wizyty. Rosły i najwyraźniej wszystkie miały zdrowe, silne płuca. Sally przyszła trochę za wcześnie - za pięć jedenasta, chociaż wizytę miała dopiero dziesięć po jedenastej.

Kiedy Stevie odbijała jej magnetyczną kartę medyczną, a troje niemowląt leżało w potrójnym wózku, próbowała zażartować, ale coś w twarzy młodej mamy ją powstrzymało. Widać było, że pada z nóg.

Przyglądała się, jak Sally siada przy wózku. Huštała nim, ale płacz dzieci nie ustawał. Sally jakby go nie słyszała. Niestety, reszta pacjentów słyszała go aż za dobrze. Niebawem wszystkim ryk dzieci dał się we znaki. Jakiś starszy pan piorunował Sally wzrokiem, a dwie kobiety szeptały między sobą, że one nigdy nie pozwalały dzieciom płakać w miejscach publicznych. Te dzisiejsze matki z nikim się nie liczą...

Stevie poczuła, jak rośnie w niej napięcie. Zapytała Sally, które dzisiaj idzie do lekarza, lecz Sally nie miała pewności.

- Chyba Amelia - odparła bez przekonania. Wcale jednak nie zwracała na córeczkę większej uwagi niż na Jamesa czy Nicholasa.

Pan Pye, ów spoglądający wilkiem pacjent, podszedł do recepcji i zapytał głośno:

- Czy można by coś zrobić z tymi strasznymi bachorami? Niemowlaki powinny mieć osobną poczekalnię. Dlaczego każe się nam to znosić?

Stevie już miała spytać go arogancko, ile razy zajmował się trojgiem dzieci naraz choćby przez kilka minut, ale odpowiedziała mu pojednawczo:

- Panie Pye, za chwilę doktor Irwin pana przyjmie i po kłopotcie.

Pacjent odburknął coś w odpowiedzi, kobiety natomiast zmieniły swój stosunek. Podeszły do Stevie i rzekły szeptem:

- Biedaczysko! Czy pani sądzi, że ta nieboraczka pozwoli nam je wziąć na ręce i ululać?

- Trojaczki to pełne ręce roboty! Przypominam sobie, że i mnie się zdarzały trudne dni.

- Człowiek czuje się wtedy taki bezradny!

- Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu - odparła Stevie i spojrzała na Sally.

Ta wstała, patrząc tępo przed siebie, poszperała w torebce, powiedziała coś o bilonie na bilet i wyszła. Wszyscy zaczęli się gapić i szeptać, a Stevie się przeraziła.

- Chyba jednak umieszczę Sally z dziećmi na osobności - rzuciła pośpiesznie.

Niemal przywlokła Sally z powrotem i sama pchnęła wózek w stronę oddzielnego pokoiku.

- Sally, co się dzieje? - spytała, kiedy zostały same.

Młoda matka wybuchnęła płaczem. Stevie wierzyła w terapeutyczną wartość łez, toteż nie starała się uciszyć Sally, tylko przytuliła ją i powiedziała:

- Wyplacz się, wyplacz...

Dzieci wydawały się tak wstrząśnięte wkroczeniem matki na ich terytorium dźwiękowe, że pokwiliły cicho jeszcze tylko chwilę, po czym dwoje usnęło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Siwowłosa Aimee włożyła głowę do środka. Stevie zdążyła się już przekonać, że to wspaniała kobieta. Wszyscy ubolewali, że odchodzi. Szukała stałej pracy. Bo siostra Bronwyn Hurst, która w ostatnim tygodniu maja miała do nich wrócić z urlopu macierzyńskiego, nawet w połowie nie była tak miła!

- Sally, skarbie, przyniosłam ci herbatę, butelki i pieluchy dla dzieci. Bo zauważyłam, że zapomniałaś.

- Wiem. - Sally pochlipywała już spokojniej. - Mam ostatnio dziurę w głowie.

W progu stanął Julius.

- Sally, możesz teraz wejść?

Sally wypila trochę herbaty i skinęła głową.

- James i Amelia znów mają zapalenie ucha - powiedział Julius po kwadransie, gdy Stevie przyniosła mu już drugą od rana kawę. Potem zaniósł też kawę Rebecce Irwin.

- Widocznie są podatne. To już trzeci raz, prawda?

- Owszem. Niestety, tak czasem bywa. Zapisalem inny antybiotyk, a po kuracji muszą się u mnie pokazać na kontrolę. Niektórym dzieciom zakłada się na kilka lat sączek, dopóki z tego nie wyrosną. Mam nadzieję, że tu nie zajdzie taka konieczność. Ale zastanawiam się... - Zawahał się. - Często widzisz Sally przez płot?

- Ostatnio nie bardzo. - Bo często widuję się z tobą! - Jest dość niezależna. A nas nie łączy na tyle bliska przyjaźń, żeby Sally przyjęła moją pomoc.

- Trochę się martwię, czy ona nie ma czasem depresji poporodowej.

- I nie otrząśnię się z tego sama?

- Wiele kobiet z tym sobie nie radzi. Nie widzą lub wstydzą się przyznać, że ich stan wykracza poza zwykłe zmęczenie. Wszyscy im wmawiają, że to powinien być najszcześniejszy okres w ich życiu.

- Bo dla wielu kobiet jest.

- Ale każdy człowiek jest inny. Są różne okoliczności, różne oczekiwania.

- Moim zdaniem, Sally ma za mało wsparcia.

- Jej mąż na pierwszym miejscu stawia karierę, czemu

nie można się nawet dziwić, ale skutki nie dają na siebie czekać.

- Czy chciałbyś, żebym...

- Tak, zajrzyj do niej. W przyszłym tygodniu sam się do niej wybiorę, ale dwie wizyty i dwie opinie dadzą lepszy obraz. Nie chciałbym działać pochopnie, ale też nie chcę, żeby niepotrzebnie cierpiała. Dzisiaj wydała mi się za bardzo rozkojarzona i skłonna do łez... Aha, i jeszcze jedno. Ta sukienka ślicznie podkreśla kolor twoich włosów.

Ta dygresja była tak wspaniała, że Stevie roześmiała się, ale szybko zamilkła, bo złękła się, co pomyślą pacjenci pod drzwiami.

Pod koniec tego męczącego piątkowego ranka Stevie miała tak napięte nerwy, że omal się nie zdradziła, kiedy Julius wychodził na lunch. Chciała podbiec i spytać, czy nie powinna rzucić wszystkiego w diabły, wybrać się na wagary i zjeść razem? Bo przez weekend prawie się nie będą widzieli...

„Lizzy przy garach” miała zaplanowane cztery koncerty, wyjątkowo dużo jak na weekend, a Julius musiał nadgonić z pracą.

- Bo w tym tygodniu wypadły mi trzy wieczory - wyjaśnił jej wczoraj, kiedy omawiali plany na weekend.

W końcu jednak pozwoliła mu wyjść na parking wyjściem dla personelu. Musi zachować rozsądek i trzeźwość umysłu mimo całego tego odurzenia...

Zadzwonił telefon. Odezwała się jak zawsze pogodnie:

- Ośrodek Zdrowia Southshore.

- Muszę się pilnie skontaktować z Juliusem Marrem, a bezpośredni telefon ani komórkowy nie odpowiadają - oznajmiła zboląłym głosem jakaś kobieta.

- Właśnie poszedł do samochodu - poinformowała Stevie. - Proszę spróbować za chwilę.

- Dobrze, ale jeśli się nie dodzwonię, czy mogę zostawić wiadomość?

- Jak najbardziej.

- Proszę mu powiedzieć, że mam kłopoty z... - Urwała.

- Albo nie. Proszę mu tylko powiedzieć, że dzwoniłam.

- A z kim mam przyjemność?

- Jestem Irene. A pani?

- Stephanie Reid.

- Stephanie? Rozumiem. Jestem jego partnerką. Przekażę mu pani, Stephanie?

Stevie usłyszała trzask odkładanej słuchawki i buczenie. Poczuli się okropnie. Ogarnęły ją bezradność i złe przeczucia. A po chwili zaciętość! Chyba oszalałam, pomyślała, zostawiając lakoniczną wiadomość na jego biurku, napisaną drukowanymi literami: DZWONIŁA IRENE.

Julius nie jest nieuczciwy! Nie mogę się chyba mylić w ocenach! Od początku wiedziałam, że taki mężczyzna nie mógł przeżyć czterdziestu dwóch lat, nie zostawiwszy za sobą ważnych związków emocjonalnych. „Partnerka” to takie pojemne określenie! I wcale mi się nie podoba. Może nawet znaczyć, że rozwód tuż-tuż. Bo przecież nie mogła się przedstawić: „Dzwoni prawie była żona”.

Szkoda, że dotąd ze mną o tym nie porozmawiał, ale on jest dość skryty. Nawet o swoich badaniach nie lubi mówić.

Jakże łatwo było go usprawiedliwiać, bo Stevie bardzo na tym zależało. Ale wiedziała też, że musi porozmawiać z nim na temat Irene. Spotykamy się dopiero od kilku tygodni, ale chyba w którymś momencie będę miała prawo wiedzieć.

Rozdział szósty

Jednakże popołudniowy grafik i cały personel jakby się sprzysięgli, żeby tych dwoje ani przez chwilę nie zostało samych. Julius wrócił spóźniony z lunchu, wpadł zroszony deszczem, a już czekało na niego dwoje pacjentów, toteż ledwo udało im się zamienić słowo.

- Wyglądasz, jakbyś była zmęczona i zdenerwowana - rzekł Julius, przechylając się przez kontuar.

- Bo jestem - przyznała. -I bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć w ten weekend!

- Ja też - podchwycił. - Musisz powiedzieć tym swoim koleżankom z zespołu...

- To nie tylko zespół - przerwała mu dość nieogłędnie. - Ty też masz mnóstwo zajęć!

Zupełnie jakby dostał obuchem w głowę. Zacisnął usta i ruszył bez słowa do swego gabinetu.

Potem przez wiele godzin wyrzucała to sobie. Przecież on się tylko droczył. Dlaczego tak mu dopiekle, i to wtedy, kiedy nie mogli tego przedyskutować? Przykrości wyrządzone drugiej osobie pociągają za sobą poczucie bezradności. Ale przeprosiny chyba tylko wszystko by pogorszyły. Zachowałam się jak idiotka, ale więcej do tego nie wrócę. Jakoś to się rozejdzie po kościach.

Do końca dnia nie mieli czasu na rozmowy, a zaraz po dyżurze Julius wyszedł z teczką w ręce i marszem na czole.

Nigdy nie ma takiej miny, kiedy jesteśmy razem, pomy-

ślała Stevie, czerpiąc z tego otuchę. Sama się śpieszyła, bo miała tylko czas, by wpaść do domu i się przebrać, zanim ruszy na dalekie przedmieścia Sydney, gdzie tego wieczoru miały grać.

Ruch był straszny, toteż stojąc za sznurem olbrzymich ciężarówek, zastanawiała się z rozdrażnieniem, czy to Alex przyjęła tę ofertę? Nie powinnyśmy grywać w miejscach oddalonych o półtorej godziny jazdy!

Pominąwszy korki, trudne warunki estradowe i nader skromną kolację, wcale nie spotkały się z najlepszym przyjęciem. Wielka widownia cynicznych licealistów wyraźnie nie przepadała za muzyką country. To dyrektor zaprosił je na zabawę szkolną, a nie uczniowie, czego nie omieszkali dać im do zrozumienia. Zamówiono je jednak na dwie godziny, no więc tyle musiały grać.

- Bardzo dużo mi to dało! - przyznała w końcu sama Lizzy.

Widać było, że jest potwornie zmęczona. Dosłownie dyszała i ociekała potem, pakując swe instrumenty perkusyjne i tocząc się do samochodu, choć przecież nieraz podczas koncertu odpoczywała.

- Wszystko w porządku? - spytała Stevie z przejściem.

Lizzy, mimo swoich czterdziestu pięciu lat, dwojga dzieci w wieku siedemnastu i czternastu lat oraz niezliczonych zajęć społecznych, no i gry w tym zespole, zwykle była pogodna i niezmordowana.

- Po prostu jestem niedospana - odrzekła, zmuszając się do weselszej miny.

- Na pewno?

- Tak. Przydałby mi się rok snu.

Bardzo ostatnio schudła, pomyślała Stevie, chociaż Lizzy z pewnością uznawała, że to dobrze.

- No to wyśpij się dzisiaj - doradziła życzliwie Stevie.
- Nie martw się! Mam taki zamiar!

Podobnie jak Stevie, ale stało się inaczej. Do domu wróciła dopiero o północy, lecz po tym długim dniu była tak rozbita, że nie mogła zasnąć. Położyła się grzecznie do łóżka, lecz przewracała się tak długo, że w końcu wstała, wzięła książkę i zrobiła sobie gorącą czekoladę. Z okna w kuchni dojrzała błysk światła za płotem. Najwyraźniej Sally też nie śpi z powodu któregoś dziecka. A może wszystkich trojga?

Sally, zrób sobie gorącą czekoladę! To pomaga...

O tak! Wystarczy umościć się z książką w łóżku i popijać, a oczy same zaczynają się kleić. I większość ludzi ulula się o drugiej, jeżeli wstała o siódmej...

Większość ludzi nie zrywa się jednak w niedzielę o siódmej. A Stevie się zerwała. Wyskoczyła z ciepłego łóżka jak grzanka z opiekacza, chociaż chętnie trochę by się jeszcze powylegiwała.

Przypomniał jej się wczorajszy telefon do Juliusa. Od Irene. I to idiotyczne słowo: „partnerka”. Nienawidzę go! Zastanawiam się... Bo jak tu się nie zastanawiać? A może ten związek jest znacznie bardziej złożony, niż mi się zdaje? Rozwód to trudna sprawa. Trudniejsza niż anulowanie karty kredytowej. Nawet jeżeli nie mieli formalnie ślubu - może dlatego tak właśnie się przedstawiła - faktyczny i emocjonalny rozpad może się ciągnąć latami. A co do dzieci...

Dzieci...

Julius niemal znienawidził ostatnio weekendy z powodu Lauren i Kyle'a, a mimo to strasznie wyrzucał sobie niechęć do przebywania z nimi. Wciąż szukał innych rozwiązań. Bo muszą gdzieś być! Nigdy jednak nie miał serca przedstawić ich Irene, bo teraz była taka biedna, taka bezradna.

Ta jej bezradność go zniewalała i wzmagala w nim poczucie winy. A tak ogromnie pragnął spędzić ten weekend ze Stevie. W porównaniu z Irene zawsze wydawała mu się taka silna, a przy tym tak szczerą i wyzbytą manipulacji.

Podwójne życie... Nie miał wątpliwości, co woli.

Stevie niedługo będzie musiała się dowiedzieć o Irene. Bo pograżałby się coraz bardziej w nieuczciwości i nieprawości. Ale się przed tym wzdrygał. Irene wcale z nim nie skończyła. Wręcz stawiała coraz większe wymagania, chociaż jednemu absolutnie nie ulegnie, a innym... do pewnego stopnia.

Dlatego że Irene może zagrozić jego karierze, która tak długo znaczyła dla niego wszystko. O nie, nie podejrzewał jej o świadomy sabotaż. W pewnych sferach życia była znacznie bardziej pokrętna, niż byłby skłonny podejrzewać, w innych mniej. Stevie natomiast w ogóle nie miała takich skłonności. Była ujmująco szczerą, otwartą i prostolinijną. Tak otwarta, że wczoraj po południu bez trudu rozpoznał w niej napięcie. Mimo wszystko miał nadzieję, że spotka się z nią w weekend, chociaż w czwartek oboje przyznali, że to niemożliwe.

Chociażby teraz...

E, przecież dopiero jest wpół do ósmej. Na pewno wczoraj późno wróciła i teraz odsypia. Za nic w świecie nie chciałby jej budzić, a tym bardziej rozmawiać o Irene przez telefon. Żałował bardzo, że wczoraj nie dowiedział się, gdzie ona dzisiaj gra!

- Ostatni raz bierzemy cztery występy podczas jednego weekendu!

Alex wyraziła odczucia ich wszystkich, kiedy w sobotę o dziesiątej rano stanęły na prowizorycznej scenie na świeżym powietrzu. Tym razem miały zagrać na zabawie urzą-

dzonej na boisku ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt, do której chodziła córka Jennie.

- Jak mogliśmy się na coś takiego zgodzić? - podchwyciła Stevie.

- Nie pamiętacie? Pomyliłyśmy daty - przypomniała im Alison, piąta członkini zespołu. - Przyjęłyśmy tę szkołę, bo sądziłyśmy, że zabawa jest w marcu, a kiedy przyszło sprostowanie, nie chcieliśmy się wycofywać.

- Czy to znaczy, że musimy zrezygnować z takich imprez? - zastanowiła się Stevie na głos.

- Z jakich imprez? - zapytała Jennie.

- Związanych ze znajomymi.

Rozległ się chór sprzeciwów.

- Przecież na tych nam najbardziej zależy! - rzuciła Alex.

- Jeżeli mamy nadmiar zobowiązań... - wtrąciła Jennie.

- Bo mamy!

- To najpierw skreśliłabym z listy takie miejsca jak szkoła Coravale!

- Ja też - potwierdziła Stevie.

- No to gdzie, twoim zdaniem, mamy grać? - spytała zniecierpliwiona Jennie.

Wszystkie były zmęczone i wszystkie przyznały, że to, co do tej pory było frajdą, stało się nużącym obowiązkiem. Stevie usiłowała dojść do konstruktywnego wniosku.

- Chyba musimy ustalić - zaproponowała - ile chcemy grać i które imprezy są dla nas najważniejsze. W przyszłym tygodniu opracujemy oficjalną strategię. Teraz, kiedy podjęłam pracę, trudno mi te zajęcia pogodzić.

- A ja muszę się bardziej zająć szkołą swoich dzieci - przyznała Alison. - Ten weekend to istny obłęd! Wayne omal nie dostał szału, że tyle wychodzę. Musimy opracować strategię i potem się jej trzymać!

Tylko Liz nie włączyła się do rozmowy. Podobnie jak poprzedniego dnia pakowała z wysiłkiem swoje bębny. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, Stevie w końcu zwróciła się do niej:

- Lizzy, czy coś ci dolega?

- Nie, tylko jestem zmęczona.

- Chyba coś więcej. - Stevie nie dawała za wygraną, bo Liz naprawdę wyglądała marnie. - Może powinnaś pójść do lekarza?

- Wiesz, Stephanie, odkąd zaczęłaś pracować w ośrodku zdrowia, wszystkich od razu wysyłasz do lekarza - rzuciła Liz. - Dostajesz prowizję od przysyłanych klientów, czy co?

To nie było fair. Stevie dosłownie raz udzieliła takiej rady Alex, gdy ta nie mogła się pozbyć uporczywego kaszlu. Okazało się, że to poważne zapalenie oskrzeli, i musiała wziąć silny antybiotyk.

Przez chwilę słowa Liz zabrzmiały jak policzek. Po chwili Stevie zrozumiała, że Liz naprawdę się boi. Dlatego reaguje tak agresywnie, próbuje ukryć swe zmęczenie i chudnięcie. Bo wie, że naprawdę coś jest nie tak, a boi się poznać prawdę.

Mimo wszystko Stevie wypaliła wprost:

- Jeśli to coś poważnego, czy nie lepiej dowiedzieć się zaraz?

Ale nie zdało to egzaminu.

- Wystarczy, że prześpię dobrze kilka nocy - odcięła się gniewnie Lizzy. - Daj już spokój, Stephanie.

Stevie przełknęła złość i urazę.

- Jak chcesz - rzuciła i odwróciła się, by ukryć zdenerwowanie. Ale się porobiło!

Nic dziwnego, że koncert poszedł im fatalnie. Dziewczyny były przemęczone, zdenerwowane, zgnębione słabym przyjęciem poprzedniego dnia oraz perspektywą jeszcze

dwóch koncertów. Poza tym nagłośnienie było fatalne, a lokalizacja estrady nie najlepsza. Najchętniej rzuciłyby to wszystko w diabły!

Zagrały pięć kawalków, zrobiły przerwę na lunch, po czym zagrały jeszcze sześć - takich, które sprawdzały się najlepiej podczas koncertów na świeżym powietrzu, kiedy większość ludzi przystaje tylko na chwilę. Zabawa chyba bardzo się udała. Pogoda nie zawiodła, bajeczne niebo nad Sydney urzekło swym błękitem, wśród różnych stoisk przechadzały się tłumy ludzi. Jedni stali w kolejce do lunaparkowych atrakcji lub próbowali szczęścia w grach, inni zajadali się wata cukrową i szaszłykami z kurczaka.

Podczas trzeciej od końca piosenki uwagę Stevie zwróciła czteroosobowa rodzina - dwoje dorosłych oraz chłopiec i dziewczyna w wieku szkolnym. Dzieci miały jasne włosy, były ładnie ubrane i podniecone, bo ściszały w garści bilety na karuzele. Matka, atrakcyjna kobieta, nieco przy kości, była jaśniejsza od dzieci, a ojcem był... Julius.

Stevie знаła doskonale piosenkę, którą właśnie śpiewała. Mimo to zaschło jej w gardle, gdyby więc Alex i Jennie nie zawyłyby donośniej, przepadłaby z kretesem.

Julius jej nie zauważył. Dla niego ta muzyka była najwyraźniej jedynie tłem. Nawet nie spojrzął na scenę. Najwyraźniej sprzeczał się z chłopcem - Kyle'em. „Kyle, Lauren, do łóżek!” - zadźwięczało echem w głowie Stevie. Klócili się, czy te bilety można wykorzystać na młyńskie koło.

Stevie zaczęła ich obserwować, nie przestając śpiewać. Kobieta - z całą pewnością Irene - wyraźnie zabiegała o uwagę Juliusa: a to poprawiła mu kołnierzyk, a to prosząc o drobne, dotknęła go władczo. Po chwili dziewczynka, na pewno Lauren, zaczęła się podobnie zachowywać, szarpiąc go za rękę.

- Błagam cię! - Mimo donośnej muzyki, Stevie wyraźnie usłyszała prośbę dziewczyny.

Niech mnie drzwi ścisną, jeżeli to jest rodzina w trakcie rozwodu! Wyglądali na idylliczną komórkę społeczną, która mogłaby brać udział w politycznej kampanii wyborczej albo w reklamie margaryny.

Kyle poszedł na młyńskie koło, Lauren stała w kolejce do któregoś z kramów po zestaw ozdobnych kasetek, a Irene wyjmowała drobne z kieszeni Juliusa. Potem ruszyła w stronę różna z szaszłykami, zamierzając kupić rodzinie lunch.

Stevie z roztargnienia powtórzyła refren. Po kilku fałszywych dźwiękach reszta zespołu poszła w jej ślady. Julius wreszcie wychwycił rytm muzyki i spojrzał na estradę. W jego oczach malowało się przerażenie i poczucie winy.

Kiedy rozpoczęły przedostatnią piosenkę, Stevie patrzyła wszędzie, byle nie na Juliusa. Pogrążona w rozpacz, zaczęła śpiewać lepiej niż kiedykolwiek w życiu. A serce kruszyło jej się w piersi jak kawałek starej czekolady.

Rozdział siódmy

Stevie.

To nie był taki znów przypadek. Przecież mówiła mu, że śpiewają na zabawie w szkole córki jednej z członkiń zespołu, do której najwyraźniej chodziła też Lauren. Była to bardzo droga prywatna szkoła dla dziewcząt nad brzegiem morza, na jednym z zamożnych wschodnich przedmieść.

Dopiero gdy Julius ją tam zobaczył, usłyszał jej drżący głos i dojrzał przerażenie na twarzy, zrozumiał, jaki popełnił błąd, nie mówiąc jej wcześniej o Irene. Teraz na pewno wszystko opacznie zinterpretuje. No więc, dlaczego jej nie powiedział? Powstrzymywała go złożoność sytuacji. Kobieta tak prostolinijna jak Stevie nie zrozumiałaby pewnie jej półcieni. Ponieważ sama kierowała się w życiu honorem i odwagą, wszystko było dla niej albo czarne, albo białe.

Pomimo to powinien był ją uprzedzić. Tymczasem usiłował za wszelką cenę rozdzielić dwie sfery swego życia, by przeszłość nie ciążyła tak na przyszłości. Sądził, że tak będzie najlepiej. Jakże się mylił!

I znów tak jak rano zaczął marzyć o tym, żeby zobaczyć ją jeszcze dziś, najdalej jutro. Ale znów uznał, że to niemożliwe. Dziś i jutro miały śpiewać na północnym brzegu, w pobliżu miejsca zamieszkania jednej z członkiń zespołu, toteż Stevie miała u niej zanocować.

Z kolei jeżeli on nie dokończy przewidzianej na dzisiaj pracy, to minie ostateczny termin złożenia najważniejszego

artykułu do czasopisma medycznego, a postanowił, że więcej przeszkód się nie zdarzy. Już i tak zbyt wiele się ich namnożyło. Zły poniewczasie, ruszył w stronę różna z szaszłykami.

- Po jedzeniu musimy się zbierać - oznajmił. - Nie mam tyle czasu, Irene!

I wcale się nie przejął jej pełnym wyrzutem spojrzeniem.

- O kurczę, aleś nas pod koniec załatwiła! - przygadała jej Alex przy pakowaniu sprzętu. - Co ci się stało?

- To, co powinno się było stać już dawno - odparła Stevie cierpko. - Jeżeli chcemy uważać się za profesjonalny zespół, to musimy stosownie postępować!

- Oj, przestań! - zawołała Jennie. - Przecież zgodziłyśmy się, że przesadziliśmy w ten weekend. Zwykle gramy profesjonalnie. Weźmy się w garść, dziewczyny, i przestańmy sobie skakać do oczu!

Liz bynajmniej nie wzięła się w garść. Przytulona do największego bębna osunęła się bez słowa na deski i leżała tam bezwładnie, zroszona potem. Stevie dopadła do niej pierwsza, natomiast Alex złapała nie wyłączony jeszcze mikrofon i zapytała rozedrganym głosem:

- Czy jest tu gdzieś lekarz? Jeśli tak, prosimy, żeby zgłosił się jak najszybciej na estradę.

Liz otworzyła oczy i Stevie dojrzała w nich strach.

- Mój Boże, Liz - szepnęła.

- Nic mi nie jest. - Liz napięła mięśnie, jak gdyby chciała wstać, ale znów opadła. - Za kilka minut...

- Do licha, ale z ciebie uparciucha! - burknęła Stevie, kładąc całą ich przyjaźń na jedną szalę. - Liz - powtórzyła, ściskając bezwładnie rękę przyjaciółki. - Jeśli to rak, lepiej dowiedzieć się zawczasu. Odkąd pracuję w Southshore, nauczyłam się jednego...

Liz parsknęła oburzeniem. Ale Stevie, również uparta, ciągnęła:

- Istnieje znacznie więcej chorób, niż podejrzewałam. Większości można zaradzić, nawet jeśli nie da się ich do końca wyleczyć, a tylko kilka jest śmiertelnych. Zawsze lepiej wiedzieć!

- Ale ja nie mam lekarza! Zresztą jestem zdrowa jak rydz. Nie masz dzieci, to nie rozumiesz. Jestem zmęczona. Zgrzałam się tylko i chce mi się pić.

- Nie ruszaj się - rozkazała jej Stevie. - Przyniosę ci coś do picia. Alex wezwała lekarza.

Miała nadzieję, że Julius już sobie poszedł. Może znajdzie się tu jakiś inny lekarz...

Irene poganiała Juliusa, nie rozumiejąc, dlaczego się ociąga. On natomiast liczył na to, że ktoś inny dotrze tam wcześniej. Jeśli zgłosi się na wezwanie, które oboje z Irene usłyszeli, będzie musiał spojrzeć w oczy Stevie w najgorszym dla nich obojga momencie.

- Pośpiesz się! - prosiła Irene. - To może być pilne.

- Ty też jesteś lekarzem, Irene - odparował, ale ruszył w kierunku estrady, bo w głębi serca czuł obowiązek. Nienawidził się w duchu za to, że dopuścił do takiej sytuacji.

- Przecież wiesz, że nie - odparła. - Od ponad dwunastu lat nie pracuję w zawodzie! A ty...

- Wiem. - Skinął głową i gotów stawić czoło najgorszemu, przyspieszył kroku. - Nie martw się. Już idę.

- Za godzinę spotkamy się w samochodzie.

- Za godzinę?

Irene wzruszyła ramionami.

- To może chwilę potrwać. Zresztą dzieci będą rozczarowane, jeśli wyjdziemy stąd tak wcześnie...

I ruszyła w stronę młyńskiego koła, a on wszedł po drewnianych schodach na estradę i zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć - Stevie z twarzą białą jak kreda klęczała obok jednej z koleżanek, a pozostałe trzy stały obok. Podbiegł do nich dosłownie na kilka sekund przed starszym mężczyzną, w którym rozpoznał jednego z najlepszych chirurgów plastycznych w Sydney. Mężczyzna natychmiast ustąpił mu miejsca.

- Nie ma mi pan tego za złe, kolego? - upewnił się James Dennie. - Pomoc doraźna to nie moja specjalność, bo nie znoszę paprać sobie weekendów...

- Poradzę sobie - odburknął Julius i doktor Dennie natychmiast się ulotnił.

Kobieta była przytomna. Nawet zdobyła się na uśmiech. Dlaczego więc Stevie jest taka blada i przerażona? Z którego powodu? Aż go coś ścisnęło w dołku. Próbował jej dotknąć, ale się uchyliła, co w tej sytuacji było zrozumiałe.

- To tylko przemęczenie! - powiedziała leżąca kobieta.
- Sprawdźmy kilka rzeczy, dobrze?
- Puls wydaje mi się przyśpieszony - mruknęła Stevie.
- O Boże, to ty mi badałaś puls? A ja sądziłam, że trzymasz mnie za rękę! - wybuchnęła Liz.

- Bo trzymałam, Liz, a jednocześnie wyczułam... Julius natychmiast się zorientował, że coś jest na rzeczy.

Z pewnością nie wchodzi tu w grę tylko przemęczenie, ale perkusistka wyraźnie nie dopuszczała myśli o chorobie.

- Chętnie panią zbadam - zaproponował delikatnie. - Ostatnio szaleje epidemia...

Zobaczył ulgę w jej oczach.

- Epidemia? Mononukleozy?
- Coś w tym rodzaju - pocieszył ją rzeczowym tonem.
- Czasem jak coś się człowiekowi przyplącze...

Chociaż Stevie jeszcze przed chwilą marzyła, by zjawił się każdy, byle nie Julius Marr, teraz musiała przyznać, że z imponującym wyczuciem radził sobie z uporem Lizzie. Zbadał ją dokładnie.

- Coś mnie jednak zastanawia - powiedział wreszcie. - Czy Stevie mogłaby umówić panią do mnie na przyszły tydzień?

- Nie, nie mogłaby!

- Ale...

- Jeśli to wirus, proszę mi powiedzieć jaki. A jeśli nie, to z pewnością przemoczenie. Poza tym doskwiera mi drzazga, która wbiła mi się w rękę, kiedy upadłam!

- Drzazgę chętnie pani wyjmę, jeśli któraś z koleżanek ma pęsetę - zaoferował pojednawczo Julius.

Omiótł spojrzeniem Stevie, ale nie zatrzymał na niej wzroku. Alex znalazła pęsetę w kosmetyczce i lekarz w mgnieniu oka usunął drzazgę. Pacjentka nawet nie mrugnęła. Ale jej uporu nie udało mu się tak bezboleśnie usunąć.

Odszedł, bo bez jej zgody niczego nie mógł wskórać, a zespół skończył się pakować. Jennie zdołała przekonać Liz, by odpoczęła. Stevie chętnie się czymś zajęła. Brak zaufania ze strony Liz bardzo ją ubódl, nie mówiąc już o zachowaniu Juliusa.

Jakoś jednak przeżyła ten weekend. Zespół bardzo dobrze przyjęto na dwóch kolejnych imprezach. Wycieńczona Stevie nie miała kłopotów ze snem w gościnnym domu Alison w Lindfield.

Gdy w poniedziałek rano wybierała się do pracy, wiedziała, że czeka ją ciężki dzień.

- Chyba musimy pogadać, co? - rzucił w locie Julius.

- Przyjadę do ciebie o szóstej, tak jak się umawialiśmy.

- Dobrze - zgodziła się, siląc się na obojętny ton.

Wyraźnie go to uspokoiło, co z kolei ją rozwścieczyło. To ja się tu skręcam z upokorzenia i zazdrości, a on ma minę, jakby sądził, że kilka słów załagodzi sprawę i że znów rzucę mu się w ramiona.

Miłość pod czterdziestkę oznacza, że kobieta ma za sobą mnóstwo doświadczeń - własnych i cudzych - które ją odstrasza. Ostatnio zaczął Stevie nękać koszmar dawnego narzeczeństwa z Grantem oraz wszystkie historie męskich niewierności. Wiele kobiet potrafi rozpocząć związek z mężczyzną, który nie zakończył poprzedniego, ale Stevie do nich nie należała. Wszystko albo nic.

Jak długo ma zamiar mnie tak zwodzić „ważnymi badaniami naukowymi”? I jak długo by mu się to udawało, a ja bym mu naiwnie wierzyła, martwiąc się, że jest taki przepracowany?

Ciekawe, ile kobiet już na to nabrał? I ciekawe, czy Irene też tak zwodzi? Może zresztą ich związek się chwieje, a ja jestem tylko jedną z wielu. W końcu jakie mam dowody, że w ogóle zajmuje się badaniami naukowymi?

Kiedy o wpół do szóstej dotarła do domu i przygotowała się na jego przyjęcie, była bardziej rozwścieczona niż wtedy, kiedy Grant postawił swoje chamskie ultimatum: albo jej matka, albo on. Może wręcz rozjuszona i dotknięta, no i nie miała zamiaru wysłuchiwać wyjaśnień z ust mężczyzny, od którego obłuda biła na kilometr.

W końcu wszystko rozegrało się jeszcze boleśniej, niż by przypuszczała. Kiedy zadzwonił, specjalnie go przetrzymała, chociaż od pięciu minut chodziła niecierpliwie pod drzwiami. A kiedy je wreszcie już otworzyła, uchyliła się przed pocałunkiem, lecz owionął ją ten jego zniewalający zapach.

Łudziła się, że z jego ust padnie kilka niewyobrażalnych słów, które nagle wszystko odmienia - Irene to moja siostra. Mieszka ze mną, bo dochodzi do siebie po okropnym rozwozie. Niczego takiego, rzecz jasna, nie usłyszała. Julius wyraźnie nie miał zamiaru udawać, że nic się nie stało.

- Stevie - zaczął bez wstępów. - Winien ci jestem wyjaśnienie.

- Żebyś wiedział!

- Nie chciałem od samego początku komplikować nam...

- Chciałeś powiedzieć, sobie komplikować - nie wytrzymała i wtrąciła oschle.

- Zgoda - potwierdził, przyjmując cios bez mrugnięcia.

- Zawsze winien jest mężczyzna, prawda? Jeżeli dąży do prostoty emocji, nawet tam, gdzie nie może być o tym mowy.

- Cieszę się, że sam to przyznajesz.

- W takim razie pozwól, że ci wyjaśnię. Irene jest moją... a właściwie była moją...

- Zanim wpakujesz się w kolejne kłamstwa, chyba powinienś wiedzieć, że rozmawiałam z nią przez telefon.

- Rozmawiałaś? Kiedy? - spytał głucho.

Miała dziką satysfakcję, że go te słowa stropiły.

- W piątek. Kiedy zostawiła ci wiadomość, żebyś zadzwonił.

- Złapała mnie zaraz potem na komórce.

- Tak sądziłam. Sama jej to podsunęłam.

- A co ci powiedziała?

- Niewiele. Ale wystarczająco dużo.

- Czyli kiedy zobaczyłaś nas razem w sobotę...

- Wcale się nie zdziwiłam - przyznała cierpko.

- Stevie, nic mnie już z Irene nie łączy. O Boże, chyba tak nie myślisz?

- Myśle... - oby tylko wypadło to lekko! - że moja de-

finicja związku byłaby znacznie bliższa definicji Irene niż twojej.

- Ona za dużo ode mnie teraz wymaga...

- A więc to wszystko jej wina, tak?

- Nie! Do diabła, wcale nie uciekam od odpowiedzialności! Ale proszę cię, wysłuchaj mnie. Nie mogła ci wszystkiego powiedzieć, bo nie we wszystko sama wierzy i nie o wszystkim wie!

- I ja nie chcę tego wiedzieć, Julius.

Zakryła uszy rękami. Nie miała zamiaru wysłuchiwać jego usprawiedliwień! Tak naprawdę nic ich nie łączy, tak naprawdę to nie jego wina, tak naprawdę nie uchyła się od odpowiedzialności za dzieci i wcale mnie nie oszukiwał, ponieważ, ponieważ, ponieważ.

Wolę nie znać mrocznych szczegółów, piękne dzięki. Bo to już koniec. Tę ostatnią wiadomość wyczytał z jej twarzy, ściągniętej żalem, miłością i bólem.

Widać, że cierpi. Nie tylko mnie to boli. Ale umocniła się w środku. Powinien był to przewidzieć. Jeśli naprawdę mnie chciał, powinien mieć odwagę zaczekać, aż zakończy związek z Irene. Ciekawe, co w jego ustach znaczy „nic nas nie łączy”?

Że nie śpią razem? Od jak dawna? Że nie mieszkają razem? Nie mają wspólnego konta? A może to wszystko ich łączy, tylko dla niego się nie liczy, bo chce sobie robić skoki w bok. Szkoda, że nie zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem!

Patrzył na nią bezradnie, zachodząc w głowę, czy coś by to zmieniło, gdyby ją teraz porwał w ramiona. Zmierzyła go wzrokiem bazyliuszka, i już wiedział.

- Nie widzę sensu, żeby to przedłużać, a ty? - spytała.

- Ja też... - Już zaczął wychodzić, ale zawrócił jeszcze od drzwi, jakby w odruchu buntu, i rzucił jej w twarz: - Nie,

Stevie! Nie mogę się z tym pogodzić. Przecież było... jest nam tak dobrze. Nie sądziłem, że masz w sobie tyle zapiekłości. Bo masz takie dobre serce.

- Dobre serce... czyli na tyle pojemne, żeby się dzielić tobą z inną kobietą?

- Jestem jej potrzebny. Muszę...

- Zauważyłam. Przez okrągłą dobę. W weekendy. W pracy. Dzieciom też jesteś potrzebny. I co jeszcze? W łóżku też stwierdzasz, że nie możesz bez niej żyć?

- Nie!

- Przecież ona tego chce!

- Wiem. - Pokiwał głową, czym wbił głębiej nóż w jej serce. - Ale ja nie chcę! Nie wierzysz mi?

- Nie. Nie wygrałabym z twoją przeszłością, bo taki jej bagaż dźwigasz jeszcze na barkach. Przyznaj, Juliusie, czy Irene kiedykolwiek usunie się z twojego życia?

- Nie - przyznał ze znużeniem. - Nigdy.

Drugi raz już się nie odwrócił, a kiedy wyszedł, Stevie nagle zapragnęła, żeby wrócili do rozmowy, zaczęli szukać odpowiedzi. Tylne czerwone światła jego samochodu już znikły za zakrętem, ale miała numer jego telefonu komórkowego. Mogła zadzwonić i go zawrócić.

Tylko spokój, tylko spokój, powtarzała sobie w duchu. Wyrzuciłaś go bez ważnego powodu? Zerwałaś z nim dla kaprysu? Pogmatwane sprawy dzwoniły jej w głowie jak druty telefoniczne na wietrze.

Nie chodzi o to, że nie poradzę sobie z byłą żoną i z pasierbami. Nie jestem taka naiwna, by sądzić, że łatwo mi przyjdzie stworzyć związek przy Irene, Kyle'u i Lauren, ale postarałabym się, pokochała te dzieci, gdyby dał mi szansę, gdyby od początku o wszystkim mi powiedział jasno i wyraźnie.

Ale skoro ona nazywa go „swoim partnerem”, przy czym widać, jak bardzo jej na nim zależy, skoro tak często się spotykają, a on nawet się o niej nie zająknął... Miała takie uczucie, jakby wprowadziła się do pięciogwiazdkowego hotelu i odkryła, że prześcieradła są wygniecione, a łóżko jeszcze ciepłe.

Jeżeli Julius z takim nastawieniem podchodził do naszego związku, to nie mogę mu wybaczyć. Bo to nie zda egzaminu.

Zapisał telefon komórkowy leżący na fotelu pasażera, wyrwując go z zamyślenia. Poczł niewymowną ulgę i zjechał na pobocze, by odebrać, pewien, że to Stevie wzywa go z powrotem.

- Julius? - upewniła się Irene.

Dlaczego przed chwilą humor tak gwałtownie mu się poprawił?

- Tak?

- Znów mam kłopoty z komputerem.

Jęknął do telefonu.

- Przepraszam - dodała. - Wiem, że to denerwujące.

Tak denerwujące, że pół godziny wcześniej, w drodze do Stevie, odmówiłby jej stanowczo i trzasnął słuchawką. Ale teraz nie miał pretekstu, by odmówić. Jakże łatwo byłoby znów wejść w starą rolę i spełniać wszystkie jej prośby. Wiedział jednak, że nie ma na to ochoty.

- Wpadnę na godzinę - rzucił cierpko - a potem radź sobie sama.

Mniej więcej godzinę po wyjeździe Juliusa dzwonek do drzwi zabrzączał znowu. Stevie tak była pewna, że to on, że nawet nie chciała podchodzić. Ale to byłoby zwyczajne tchórzostwo.

Napięła się, nadeła, ruszyła do boju... i aż zamurowało ją na widok roztrzęsionej, chlipiącej Lizzy.

- Właśnie miałam golnąć sobie dzinu z tonikiem. Chcesz?

- A dużego? - spytała Liz.

- Bardzo dużego. Z lodem, cytryną i listkiem świeżej mięty. Naprawdę pomaga.

- To mi wygląda na prawdziwe lekarstwo.

- Zobaczysz, że pomoże.

- A po co tobie takie lekarstwo? - Przyjaciółka przyjrzała się Stevie badawczo. - No tak, wiem. Od piątku zachowuję się wobec ciebie jak świnia.

- Liz, to nieważne, daj spokój - pocieszyła ją Stevie. - Chyba cię rozumiem.

Przeszły do kuchni. Stevie przygotowała trunki, a Lizzy siedziała przy stole, wycieńczona i rozdygotana.

- Och, Stevie, tak się boję! - wreszcie wybuchła, biorąc zimną szklankę trzęsącą się ręką.

- Pewno sądzisz, że to rak, co? - spytała Stevie, wyczuwając, że dzisiaj nie ma co owijać w bawełnę.

- A co? Zmęczenie, chudnięcie. Przez całą noc nie zmrzyłam oka, tak się martwiłam. I tak okropnie zachowałam się wobec ciebie, kiedy chciałaś mi pomóc.

- To bez znaczenia. Pewnie znów. mnie znienawidzisz, ale radzę ci koniecznie wybrać się do lekarza!

- Wcale cię nie znienawidzę. Tylko mnie umów, dobrze? - poprosiła słabo Liz.

- Do Southshore?

- Do Southshore. Ten lekarz, doktor Marr... spodobał mi się. Dobry jest?

- Świetny. U nas zresztą wszyscy są dobrzy.

- Miałas rację. Nie mogę wiecznie żyć strachem. Lepiej znać najgorszą prawdę.

- Żebyś wiedziała - przyznała cicho Stevie.

- No, jestem. Życz mi powodzenia! - poprosiła Lizzy, kiedy w środę przed południem wyrosła jak spod ziemi przy recepcji.

Stevie patrzyła na nią nie widzącym wzrokiem, bo od wielu dni myślała w kółko o jednym. Czy powinna była wysłuchać jego wyjaśnień? I je przyjąć? A może powinna była wszystko „zrozumieć” i zaakceptować? Nadal miałyby go, choćby połowicznie, nawet gdyby przyniosłoby jej to zażdrość, samotność i niepewność...

Ale też wszystko mogłoby się zakończyć tak jak teraz, tyle że przeżyłaby długi, przykry związek i dodatkowy ból, że to on wszystko zakończył. A w ten sposób przynajmniej wybrnęła z tego honorowo. Ale co mi po honorze...

- Lizzy! - opanowała się w końcu. - Przyszłaś na wizytę!

- To dzisiaj, prawda? Tak mówiłaś wczoraj wieczorem...

- Tak, tak. Niemożliwe, że już tak późno.

- Jedenasta. Miałam się zgłosić o jedenastej.

- Aha. Doktor Marr nie ma opóźnienia. - Zmusiła się do pogodnego tonu. - No więc odbij kartę w maszynie i wypełnij ten formularz.

- Ale tu u was miło - pochwaliła Lizzy, gdy już wyjęła kartę. - A sądziłam, że w przychodni będzie tłok i gwar.

Stevie chwaliła sobie tę pracę. Nie dawała jej zapomnieć, że inni też mają problemy. Od razu jej kłopoty zeszyły na dalszy plan. Ta biedna Liz żyje w strachu przed rakiem...

- Skup się na formularzu - poradziła serdecznie. - Im lepiej go wypełnisz, tym łatwiej będzie doktorowi Marrowi wykluczyć jeden problem albo uchwycić inny.

Przyjrzała się koleżance. Z wyglądu silna, grubokoścista. Miała lekko siwiejące włosy, szerokie kości policzkowe

i oczy jak węgle. Po rozwodzie z Pete'em wielu mężczyzn smało do niej cholewki, ale ona jakoś nie była zainteresowana kolejnym małżeństwem i z nikim się nie związała. Jeżeli to rak albo coś równie poważnego, będzie musiała stawić mu czoło sama, a jej samodzielność na niewiele się zda.

Po kilku minutach Lizzy położyła wypełniony formularz na biurku, ale Stevie rozmawiała przez telefon i mogła się tylko do niej uśmiechnąć. Zanim Liz zdążyła usiąść, Julius już ją wezwał. Miał na sobie biały kitel narzucony na ciemnoszarą koszulę z wzorkiem.

- Nie, w piątek po południu nie mogę - powiedział anonimowy pacjent z drugiej strony. - A w czwartek po południu?

- Doktor Irwin nie przyjmuje teraz w czwartki - poinformowała mechanicznie Stevie, patrząc, jak Julius przepuszcza Lizzy w drzwiach.

Stevie nie prosiła Juliusa o specjalne względy dla koleżanki. Nie musiała, bo doktor Marr wszystkich pacjentów przyjmował z najwyższą uwagą i sumiennnością. Stevie nie stać było teraz na podobną sumiennność. Z rozkojarzeniem odbierała telefony i załatwiała pacjentów w recepcji.

Aimee Hilliard, która właśnie weszła, mimo pięćdziesięciu lat była zgrabną, atrakcyjną kobietą. Miała pięknie rzeźbioną twarz, teraz lekko opaloną, nordyckie błękitne oczy, urzekające niezależnie od wieku, a dziś na policzkach wkwit! jej dodatkowy rumieniec.

- Dostałam! - obwieściła z satysfakcją.

- Pracę u doktor Irwin? - wykrzyknęła Cathy Hong. - To cudownie, Aimee! Prawda, że na niej ci najbardziej zależało?

- Tak mówiłam? - Aimee uśmiechnęła się mgliście, lecz policzki zapalały jej jeszcze żywiej. - No więc tak... - Wtuliła twarz w wazon świeżych kwiatów na biurku, jak gdyby

chciała upoić się ich zapachem, i dodała: - Same plusy. Bli-
sko domu. Mniejsza przychodnia niż tutaj, co mi bardzo
odpowiada. Zaczynam w przyszłym tygodniu, czyli tutaj
skończę w piątek.

- No i znasz Rebekę Irwin.

- To ona mi powiedziała, że kogoś szukają - przyznała
Aimee.

- Właścicielami tej przychodni są jej ojciec, narzeczony
i jeszcze jedną lekarka, prawda? - upewniła się Cathy.

- Tak, i wszyscy są mili. Jeszcze tylko nie poznałam
Grace Gaines. Muszę przyznać, że ten doktor Jones Rebeki
to przystojny mężczyzna!

Wcale mi się nie podoba, pomyślała Stevie. W tym stanie
emocjonalnym widziała i czuła dwa razy więcej niż zwykle.

Aimee podoba się ojciec Rebeki Irwin, u którego ma pra-
cować, ale nie przyznaje się do tego nawet przed sobą. Sally
Kitchin boryka się z trojaczkami. A Liz boi się raka.

Ale kiedy opuściła po dziesięciu minutach gabinet doktora
Marra, wcale już się nie bała.

- Jego zdaniem to wcale nie jest rak - powiedziała do
Stevie. - Prawie na pewno tarczycza. Przypominam sobie, że
mama też miała po czterdzieście kłopoty z tarczycą. Brała
naświetlania, żeby ją zmniejszyć, i pomogło. Nigdy o tym nie
wspomina, dlatego nie przyszło mi do głowy... Och, Stevie,
dzięki, że kazałaś mi tu przyjść i oszczędziłaś mi tylu tygodni
strachu! Miałaś rację. Zawsze lepiej wiedzieć!

- Owszem - przyznała Stevie, chociaż nie była pewna,
czy dotyczy to również takich sytuacji jak jej.

W jej przypadku niewiedza była zbawienna, a raj dla głu-
pców znacznie miłszy niż ta zimna wysepka z litą skałą pew-
ności, że postąpiła słusznie i honorowo.

Ale nie przyznała się Lizzy do tego, tylko rzekła:

- Gdybyś czegoś potrzebowała, to mów. A jeśli masz pytania na temat terapii, dzwoń do doktora Marra. Zawsze chętnie udziela konsultacji przez telefon. Nie zostawia pacjentów w niepewności.

- Przekonałam się - odparła Liz. - Już rozumiem, dlaczego tak ci pomógł z mamą. To prawdziwy skarb.

Była tak wniebowzięta, że nie dostrzegła dwuznaczności w tym określeniu.

Tego wieczoru Stevie wybierała się z zapowiedzianą wizytą do Sally Kitchin, ale okazało się, że nie jest to konieczne. Kiedy o szóstej wyszła do ogrodu zebrać bieliznę wywieszoną rano, jej oczom ukazał się rozkoszny widok.

Na zapuszczonym trawniku Kitchinów świeżo wykoszono polankę w kształcie koła, a także ścieżkę do domu. Na tej polance stał stół nakryty białym obrusem, a na nim przeżyły się w zapadających ciemnościach trzy długie, eleganckie świece - dwie niebieskie i jedna różowa.

Wieczór był ciepły. Sally i jej mąż, Michael, siedzieli z pizzą podaną na eleganckiej porcelanie, obok stała sałatka z supermarketu w szklanej misie, a dalej czekał luksusowy sernik w przezroczystym plastikowym pojemniku. Między nimi stała butelka wina i nieco mniejszy monitor dla niemowląt, z którego dobiegało wzmocnione posapywanie i odgłosy przewracania się trojga niemowląt śpiących smacznie w swoim pokoju.

Sally i Michael nie odrywali od siebie oczu - dopóki nie skrzypnęła linka od bielizny, kiedy Stevie ściągała z niej pranie. Gdy podeszli do płotu, oboje mieli promienne miny.

- Mąż dostał awans, znacznie większą pensję, no i jest tutaj. Nie będzie musiał wyjeżdżać przynajmniej przez pół

roku! - pochwaliła się Sally. - A od piątku wziął trzy tygodnie urlopu...

- Wyśpi się teraz za wszystkie czasy! - powiedział Michael. - Pora, żebym i ja poznał nasze śliczne dzieci!

Sally śmiała się i płakała zarazem.

- Och, Stevie. Chyba tydzień temu zjawiłam się w ośrodku w strasznym stanie, co?

- Doktor Marr bał się, czy nie masz depresji poporodowej - wyznała Stevie, uznając, że teraz już może wyznać prawdę.

- Wcale się nie dziwię - stwierdziła Sally. - Byłam tak przemęczona. Ale często po prostu nie posiadam się z radości, jak choćby dzisiaj. Kiedy się uśmiechają i wszystkie razem zasypiają! A kiedy czuję zapach ich włosów...

- Jakich włosów? Nie widziałem żadnych włosów! - sprzeciwił się Michael.

- Owszem, mają włosy! - upierała się Sally. - To znaczy meszek. Widać pod światło - przyznała z zawstydeniem.

- No dobrze, może to moje matczyne złudzenie. Ale i tak główki ślicznie im pachną i wspaniale utrzymują je w górze.

Stevie dokończyła zdejmować pranie i zostawiła Kitchinów przy ich uroczystej kolacji przy świecach. Wiedziała, że matka, która potrafi z byle czego urządzić taką romantyczną uroczystość, nie może przechodzić depresji poporodowej.

I to właśnie powiedziała nazajutrz w przelocie Juliusowi. Wyrażnie się ucieszył przyznał jej rację.

- Ale i tak za tydzień lub dwa do niej wpadnę. Bo chucham na zimne.

- Na zimne? - powtórzyła zaintrygowana.

Do czego on mógł pić? Ros była w zasięgu słuchu. Czy umknął jej aluzyjny sens, który Stevie pochwyliła tak wyraźnie?

- Moim zdaniem wszystko, co ma jakąś wartość - wyjaś-

nił - wymaga ciężkiej pracy. Nie lubię przedwcześnie ogłaszać zwycięstwa ani też porażki.

Chce mi powiedzieć, że za szybko się poddałam. Świadoma narastającej między nimi ciszy, zawahała się. Jeszcze kilka słów od niej i znów Julius poprosi ją o spotkanie, zapyta, czy nie mogliby spróbować jeszcze raz. Toteż znów się zacięła. Przerzuca to na mnie, pomyślała. A to nie moja wina! To on postąpił nieuczciwie!

Uniosła głowę i powiedziała wyraźnie:

- Nie zgadzam się. Czasem popełniamy błąd, ponawiając próby. Warto zaufać własnym uczuciom, uciec od błędów i ruszyć naprzód.

- Tak uważasz?

- Tak.

- Rozumiem. - Skinął głową i znikł w gabinecie.

- O czym wyście mówili? - spytała Ros.

- O pewnej pacjentce - odparła, częściowo zgodnie z prawdą.

- Tylko?

- No... mniej więcej.

- Bo ja się o niego martwię - wyjaśniła Ros.

- Dlaczego?

- Stevie, on chodzi jak z krzyża zdjęty! Widać, że cierpi, a od paru miesięcy jest wyraźnie przemęczony i coś go gryzie. Mam nadzieję, że nie grozi mu załamanie nerwowe!

- Załamanie? Nie dramatyzuj!

- Załamania się zdarzają. Nawet lekarzom.

- Ale...

- Stevie, on jest na granicy wytrzymałości. Gdybym wiedziała, czyja to wina, złołabym takiej osobie skórę!

Nogi się pod Stevie ugięły. To była prawda: Julius cierpiał. Zauważyła to już wcześniej, ale uznała za odbicie własnych

uczuc. Czerpała wręcz złośliwą satysfakcję z tego, że i jego to gryzie. A teraz dopadły ją wyrzuty sumienia.

Czy to możliwe, że kocha mnie tak bardzo jak ja jego? Czy zatem on ma rację, a ja się mylę? Ciężka praca nad sobą pozwoliłaby jej zrozumieć i wybaczyć?

Słowa Ros wywarły pożądany efekt. Cierpienie Stevie odrobinę zmalało, nadzieje wzrosły.

RS

Rozdział ósmy

Julius spojrzął na zegar i zamrugał, aż przeszył go ostry ból, rozchodzący się promieniście od oczu. Mimo drugiej nad ranem wciąż ślęczał przy biurku, biedząc się nad sformułowaniami w przełomowym punkcie swoich badań. „Grupa kontrolna składała się z...” napisał, po czym wykreślił ostatnie słowa.

Powinien od razu pisać na komputerze, ale gdyby miał jeszcze patrzeć na jasny ekran, chyba głowa by mu eksplodowała. „Grupa kontrolna składała się - zdecydował się potwórnice - z piętnaściorga dzieci w górnych granicach...”

Nie, styl jest zbyt kwiecisty. I znów wykreślił ostatnie sformułowanie. Zwykle miał mniejsze kłopoty z doбором słów.

Oparł głowę na biurku i zamknął oczy, by choć chwilę odpocząć. Postanowił, że nie położy się przed trzecią, a budzik nastawił na ósmą. Żeby odespać, bo to niedziela. Jeśli utrzyma takie tempo przez cały miesiąc, zakończy pracę w terminie. I dopiero wtedy spróbuje porozmawiać znowu ze Stevie, złoży jej obietnice, których tym razem będzie mógł dotrzymać. Jeśli mu pozwoli, wyjaśni jej długi i skomplikowany związek z Irene.

Ale przedtem muszę skończyć z tym podwójnym życiem. Dlatego teraz tak się przykładał. Jeszcze tylko chwila, bylebym zdołał unieść głowę...

Po chwili już spał jak zabity, a kiedy obudził się o czwar-

tej nad ranem, całe ciało miał obolałe, głowa mu pękała, i wiedział, że teraz powinien się rzucić do łóżka. Wstał jednak na sztywnych nogach, wziął dwie tabletki od bólu głowy, zaparzył sobie kawę i wrócił do pracy. „Piętnaścioro dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat pochodzących z rodzin...”

Dokończył szkic artykułu, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły kremową, wschodnią ścianę jego domu z tarasem.

- Przepraszam, że cię tak zostawiam - rzekła Aimee Hilliard we wtorek o piątej do Stevie.

- Coś ty - usłyszała w odpowiedzi. - Okropnie wyglądasz. Musisz iść do domu.

- Przecież dzisiaj miałaś wyjść wcześniej, a wyjdiesz ostatnia. Gdyby Cathy nie musiała czegoś załatwić, mogłaby mnie zastąpić.

- Nic mi nie będzie - zapewniła ją Stevie.

Aimee przyszła zagrypiona, chociaż powinna leżeć w łóżku z baterią gorących napojów, ale bała się zostawić Stevie samą w zajęciach dla chorych na serce. Stevie też miała wątpliwości. Aimee jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Jak będzie się czuł młody, energiczny doktor McKinnon, kiedy zamiast jego asystentki zjawi się niewyszkolona recepcjonistka?

Ale jeśli Aimee domyśli się moich obaw, to nie pójdzie do domu, więc nie dam niczego po sobie poznać. Widać, że źle się czuje, na pewno ma gorączkę.

- Idź już. Zjem coś w mieście i zjawię się u doktora McKinnona o siódmej trzydzieści.

- O siódmej piętnaście - sprostowała Aimee. - Bo musisz przygotować coś do zajęć.

- No to o siódmej piętnaście - obiecała Stevie i wreszcie

Aimee, wyraźnie cierpiąca, dała się przekonać i odjechała swym zwinnym autkiem.

Między wpół do szóstej a szóstą pojawiło się mnóstwo pacjentów, lecz Cathy, która wybierała się na kolację w mieście, przyniosła sobie kanapkę, toteż Stevie mogła za kwadrans siódma skoczyć do barku na Anzac Parade, gdzie kupiła sobie pojemnik parującego makaronu ryżowego z sosem z krewetek.

Pochłonęła go już w sali konferencyjnej przychodni, którą znalazła mimo niezbyt dokładnych wskazówek doktora McKinnona. Spośród siedmiorga lekarzy pracujących w tym ośrodku z Cameronem McKinnonem czuła się najmniej swobodnie. Upatrywała w tym własnej winy, bo lekarz cieszył się estymą u reszty personelu, tyle że był taki... młody, bystry, lecz ciut przemądrzały.

Wszyscy lekarze są, oczywiście, mądrzy... a Julius z nich pewno najmądrzejszy, bo nikt nie spędza tylu lat na badaniach medycznych bez odrobiny oleju w głowie. Ale inni lekarze jakoś się z tym tak nie obnosili jak doktor McKinnon.

A może z inteligencją bardziej do twarzy ludziom po trzydziestce? Doktor McKinnon, który zrobił maturę w siedemnastym roku życia, i to z wyróżnieniem, miał dopiero dwadzieścia sześć lat.

- Widzą państwo, jakim wspaniałym mechanizmem jest ludzkie ciało - mówił pięć po dziewiątej koedukacyjnej grupie słuchaczy - ale trzeba je dobrze traktować. Dostarczać właściwego paliwa, prowadzić z odpowiednią prędkością, a wtedy silniki będą mruzczały z zadowolenia!

Z pewnością miał charyzmę, a przy tym tyle zapału, że sam wykonał większość obowiązków, które zwykle na jego sesjach wykonywała Aimee, a zatem pomiary ciśnienia krwi

i puls u wielu osób w stanie spoczynku i po wysiłku, żeby wykazać korzyści płynące z gimnastyki.

Stevie, której pozostało tylko rozdać broszury i zebrać modele serca, czuła się przez większość czasu zupełnie zbędna. Natomiast po spotkaniu...

- Muszę już pędzić - oznajmił wesoło. - Czy mogłaby pani posprzątać tu wszystko i zamknąć?

- Oczywiście. Tylko proszę mi powiedzieć, gdzie...

Ale jego już nie było. Rzucił tylko przez ramię zdawkowe „dziękuję” i nawet nie czekał na odpowiedź.

Stevie wzruszyła ramionami. Co tam! Poczekala, aż wszyscy zbiorą swe manatki i wyjdą, po czym zamknęła za nimi drzwi i zaczęła zbierać filizanki, składać krzesła, sprzątać nie używane materiały do szafy w kącie sali.

Nie bała się zostać sama - w końcu mieszkała sama już od siedmiu miesięcy - gdy wtem usłyszała kroki. Ktoś nadchodził.

Zamarła. Czy tylne drzwi są zamknięte? Którędy wybiegł Cameron? Co za idiotka ze mnie. Najpierw muszę sprawdzić, a dopiero potem mogę się bać.

Podeszła, właściwie to podkrađła się do drzwi i wyjrzała, gdy ten ktoś skręcił za róg. To Julius.

Ulga odmalowała się na jej twarzy.

- Jeszcze tu jesteś? - spytał, podchodząc.

Znaleźli się po raz pierwszy tak blisko siebie od czasu tamtej katastrofalnej poniedziałkowej sceny sprzed tygodnia. Jego bliskość... bijący od niego żar... okazały się zbyt trudne do zniesienia. Musiała się przemóc, by się odezwać.

- Właśnie zamykałam - powiedziała. - Przestraszyłeś mnie.

- Wróciłem, bo zapomniałem notatek - wyjaśnił. - Wsadziłem je gdzieś do biurka, ale chwilę zabierze mi ich odnalezienie. Chcesz, żebym zamknął?

- Nie, muszę jeszcze zmyć filiżanki i złożyć krzesła.
- A kto ci zostawił tyle roboty? - spytał.
- Doktor McKinnon, ale nic nie szkodzi - odparła. -

Wszyscy musieli wcześniej wyjść.

- To ja ci pomogę.
- Dam sobie radę. Idź, poszukaj swoich notatek. Bardzo cię proszę!

To ostatnie słowo go przekonało. Obstawałby przy swoim, ale z jej błagalnego tonu wywnioskował, że Stevie nie radzi sobie z tą sytuacją. Przeszedł na bardziej oficjalny ton.

- No dobrze. To już pójdę.
- Ja tylko... - bąknęła bez sensu i uciekła.

Uwinęła się w dziesięć minut. Ponieważ nie słyszała, by się krzątał, uznała, że musiał wyjść. Owszem, miał bałagan na biurku, ale chyba nie aż taki, żeby tak długo szukać niedawno włożonych tam notatek. Wyszła do recepcji z wielkim pękiem kluczy w ręce. Po raz ostatni rzuciła okiem, czy wszystko w porządku. Jak najbardziej! Pstryknęła trzy wyłączniki, żeby zgasić ostatnie światła, i budynek zatonał w ciemnościach, pominawszy jedną lampą przy wyjściu.

Zaraz, zaraz. Niezupełnie. Spod któregoś gabinetu sączyła się smużka światła. Westchnęła, wiedząc, że trzeba to sprawdzić. Któryś z lekarzy musiał nie zgasić światła.

Po chwili zorientowała się, że to światło spod drzwi Juliusa. I dobiegał stamtąd dziwny, miarowy dźwięk... Czyżby jeszcze nie wyszedł?

Zapukała cicho i odczekała chwilę. Cisza. Kiedy ostrożnie otworzyła drzwi, zrozumiała, dlaczego. Julius spał z głową wspartą na stosie papierów, na biurku. Ów miarowy dźwięk to jego posapywanie - bo Stevie w swej dobroduszości wzdragała się nazwać je chrapaniem - które bynajmniej nie

ustało, kiedy podeszła na palcach i położyła mu rękę na ramieniu.

- Julius, obudź się. Nie możesz tu spać. Rano będziesz się fatalnie czuć!

- Kto? - Poruszył się i podniósł nieprzytomnie głowę. Na policzku miał wyciśniętą czerwoną plamę od stosu papierów.

Zrozumiawszy, co zaszło, wzdrygnął się i zakrył twarz. Rękami, które zaledwie dwa tygodnie wcześniej pieściły ją tak czule... Stevie podskoczyło serce. Ros miała rację - niewykluczone, że jest bliski załamania.

- Odwiozę cię lepiej do domu - zaproponowała.

- Nie. Za chwilę oprzytomnieję. - Poklepał się w policzki, ale oczy nadal błyszczały mu z przemęczenia.

- Dlaczego się nie oszczędzasz? - spytała, nienawidząc się w duchu za ten nadmiar troski. Najchętniej podeszłaby i przytuliła go, żeby przelać weń własną siłę i energię.

Nie spodziewała się odpowiedzi na to dziwne pytanie, ale on blade się uśmiechnął i odparł:

- Z twojego powodu, Stevie.

- Z mojego powodu? - Roześmiała się nerwowo. - Nie rozumiem.

- Śpieszę się, żeby skończyć te badania. Do licha, po co ja ci to mówię? Bo kiedy znów cię poproszę, żebyś była moją dziewczyną, będę miał czas dać ci to, na co zasługujesz. Będę mógł przyznać ci pierwszeństwo w swoim życiu. Myliłem się, angażując cię, skoro nie mogłem poświęcić ci całej swojej uwagi.

- O Boże - szepnęła. - Czyżbym była aż tak wymagająca? I tak samolubna?

Podeszła bezwiednie bliżej.

- Nie, wcale nie. Miałaś prawo czuć się oszukana i za-

mierzam ci to wynagrodzić. Za miesiąc, najwyżej za półtora. Muszę napisać jeszcze jeden artykuł i jeden czeka na korektę.

- Ale jeśli będziesz gonił, żeby zdążyć w ciągu miesiąca, pracując do tego w ośrodku, to padniesz z wyczerpania. Nie zamęczaj się tak dla mnie. Zwolnij tempo. Nie musisz na mnie czekać. Przecież tu jestem. I nie ucieknę, jeżeli będę ci potrzebna.

Myślała o nim z taką troską, z taką czułością, a jego słowa tak ją ujęły, że zapomniała, iż chodziło jej o Irene, a nie o jego pracę. Rozdzieliła ich Irene, a nie godziny spędzone przy pracy naukowej. Poglaskała go po zmęczonych ramionach, wtuliła twarz w jego gęste, pachnące włosy. A ponieważ tęskniła za tym od jedenastu dni, niemal zadrżała, dotykając go ponownie.

On też poczuł dreszcz i okręcił się na krześle, by przyciągnąć ją do siebie, posadzić sobie na kolanach i objąć. Zamknął oczy, bo zapiekły go łyzy. Stevie szukała łąpczywie jego ust, a kiedy je odnalazła, zatopiła się w pocałunku.

Wtedy rozluźnił uścisk i zaczął pieścić jej piersi, muskając ich jędrne, drobne kształty, aż naprężyły się i zaczęły ją drażnić pod satynowymi miseczkami biustonosza. Drżała z pożądania wzbierającego w niej pod wpływem jego ręki. Zaczęła głaskać go po twarzy, gdy ją całował - wodziła palcami po ciemnych brwiach, szerokich policzkach. Zrozumiała, że ta twarz jest dla niej wprost bezcenna...

Kiedy przycisnęła wargi do jego czoła, jak gdyby ich razem chciała sprasować widoczne tam zmarszczki zmęczenia, poczuła na języku jego wyborny, nieco cierpki smak. Pewno wypił tego dnia mnóstwo kawy. I zapewne nie miał w ustach nic więcej. Trzymając jego twarz w dłoniach, spytała z lekkim wyrzutem:

- Jadłeś coś dzisiaj?
- Jeszcze nie.
- A kiedy miałeś zamiar?
- Och... - Wzruszył ramionami. - Po powrocie do domu wrzucę jakieś gotowe danie do mikrofalówki.

- Daj spokój. Coś ci ugotuję. Mam pełną lodówkę.

Sprzeciwił się zdecydowanie.

- Nie. Pojedźmy do mnie.
- Z powodu twojej pracy?
- Nie, Stevie. - Podniósł wzrok. - Chcę, żebyś zobaczyła, jak mieszkam. Jeśli naprawdę chcesz się wplątać w to moje skomplikowane życie, chciałbym, żebyś choć raz stanęła na moim terenie. Poza tym nie chciałbym, żebyś trafiła tam... - uśmiechnął się rozbrajająco - w dniu, w którym nie przychodzi moja sprzątaczką.

- Ale dzisiaj była? - upewniła się ze śmiechem.
- Mam nadzieję!
- Kocham cię, Julius...

Te słowa przysłyły spontanicznie. Wypowiedziane z czułym śmiechem, bo sama myśl o jego bezradnej krzątaninie po domu i zależności od sprzątaczką tak ją ubawiła. A jednocześnie przeraził ich ciężar.

Kocham cię. To tylko słowa. Ale jak ważne. Julius zastygł, a potem stopniowo się rozluźnił. Czują, jak się ożywił.

- Ja też cię kocham - powiedział z namysłem.
- Przepraszam...
- Za co?
- Bo tak palnęłam, jakbym domagała się jakiejś reakcji od ciebie.

- Wcale nie musiałem tego mówić - sprostował.
- Ale gdybyś nie powiedział... bo jeśli jedna osoba mówi, to druga jest niemal zobowiązana...

Położył dwa palce na jej ustach.

- Stevie, to tylko słowa.

Głaskał powoli jej dolną wargę, a potem zakreślił zarys górnej. Wreszcie pocałował ją, nie dając jej czasu do zastanowienia, czy ten komentarz ujął ją, czy ubódl.

Przypomniała sobie jednak o jego głodzie, tym bardziej że właśnie zaburczało mu w brzuchu. Oboje się roześmiali.

- Nie odpowiedziałas mi - wytknął jej serdecznie - czy chcesz pojechać do mnie?

- Bardzo - szepnęła.

Zostawiła swój samochód na parkingu ośrodka i wgramoliła się szczęśliwa na przednie siedzenie od strony pasażera, bo Julius odrzucił jej uwagę, że jest zbyt zmęczony, aby prowadzić.

Było po wpół do dziesiątej. Droga Anzac Parade do Surry Hills nie trwała długo. Niebawem Julius skręcał w Cleveland Street, a stamtąd w boczną uliczkę pięknie zachowanych wiktoriańskich tarasów, na ogół z nie naruszonymi żelaznymi = ażurowymi balustradami. Wiele z nich z tyłu miało nowoczesne przybudówki, dodające światła i przestrzeni tym niegdyś skromnym domom.

Taki właśnie był dom Juliusa. Z korytarza gabinet, dalej salon, jadalnia i przepiękna kuchnia, a wszystkie te pomieszczenia wychodziły na oranżerię, która w słoneczny dzień pozwalała na łagodne przejście do ogrodu.

Dom był wspaniały...

- Twoja gospodyni nie zawiodła - pochwaliła Stevie.

Jednakże mebli było tam bardzo mało. Tylko najbardziej

niezbędne, zwłaszcza w gabinecie, chociaż jeden rzut oka na stos papierów i sprzęt komputerowy kazał jej zaniechać bliższych oględzin.

A gdzie reszta? Wprawdzie zauważyła komplet wypo-

czynkowy, stolik do kawy, sprzęt radiowotelewizyjny, ale żadnych regałów z książkami, ław ani lamp, i tylko jeden obraz na kremowych ścianach. Dobrze chociaż, że to oryginał, płótno olejne przedstawiające kram z owocami i warzywami w śmiałych, zmysłowych barwach. Od razu jej przypadł do gustu.

W jadalni to samo - nowy stół i osiem krzeseł oraz imponująca para bladozielonych waz chińskich na pięknie zachowanej półce nad marmurowym kominkiem, i już.

- Mieszkam tu dopiero od niedawna - wyjaśnił. -I dlatego, jak pewnie zauważyłaś...

- Właśnie...

- Nie dorobiłem się jeszcze wielu sprzętów.

- Owszem, trochę tu spartańskie warunki - przyznała.

Skrzywił się.

- Zobaczylabyś to, zanim kupiłem komplet stołowy.

- Nie warto kupować wszystkiego naraz - powiedziała byle co, żeby ukryć swoje myśli.

To z powodu rozstania z Irene. Musiała opuścić ich wspólny dom. Zostawiła tylko sprzęt grający, komputer i jeden obraz. A może nie urządził się, bo liczył na to, że znów się zejdą.

O Boże, ale ze mnie idiotka. Nic się nie zmieniło! Irene nadal gra ważną rolę w jego życiu. Jestem ciekawa, jak jest na górze? Czy są łóżka dla dzieci? Czy odwiedzają go w weekendy?

Poradzę sobie. Tak jak większość kobiet w podobnej sytuacji. To głupota oczekiwać ideału. Julius jest wspaniały, a jego przeszłość z Irene, wciąż tak obecnej w jego życiu, jedynie cierniem. Jeśli ponownie się zaangażuję, bo na to się zanosz, muszę domagać się od niego czegoś więcej. Próbował mi to powiedzieć, ale nie chciałam słuchać. Przynajmniej wiem, że z nią nie mieszka.

Tymczasem Julius krążył po kuchni, buszował po szafkach, zajrzał do lodówki, bo nie bardzo wiedział, co by tu o tej porze i przy tym zmęczeniu wymyślić do jedzenia.

Serce jej się ścisnęło. Odrzuciła wszystkie myśli o Irene. Jest z nim teraz, a pół godziny temu wyznał jej miłość. Czego więcej chciała?

- Jest mnóstwo jedzenia - oznajmił. - Kiedy wiem, że będę w domu, proszę, żeby mi coś przygotowała i zrobiła zakupy. - Dopiero po dłuższej, bolesnej chwili Stevie zorientowała się, że Julius mówi o gospodyni, a nie o Irene. - Umieram z głodu, ale co my ugotujemy o tej porze?

- My? Poczekaj, sama coś przyrządę - powiedziała. - Odpręż się. Napij się... albo wykap. Albo co chcesz.

- Wykąpać się? - Parsknął śmiechem. - Jeszcze się tu nie kąpałem, chociaż mieszkam tu przeszło pół roku. Pani Ferguson co tydzień wszystko pucuje do czysta. A wiesz, że to niezły pomysł.

- No to idź - poprosiła cicho - a ja coś ugotuję. Nie protestował więcej, tylko podszedł i ją objął.

- Czy ja w ogóle na ciebie zasługuję? - mruknął, a potem ją pocałował. Wyczuła w nim wahanie, dziwne jak na tak stanowczego na pozór mężczyznę. Wzruszyła ją ta drobna oznaka jego bezradności. - Obudzisz mnie, kiedy kolacja będzie gotowa? - spytał.

- Czy obudzę? Myślałam, że idziesz do wanny!

- Bo idę. Ale pewnie w niej zasnę.

Pół godziny później szykowała się, by nałożyć gruby befszyk na jego podgrzany talerz, na którym już leżały dwa dymiące wielkie kartofle upieczone w mikrofalówce, domagające się masła. Obok stała sałatka z awokado, pomidorów, marynowanych karczochów i oliwek z liściem dębu; wystar-

czyło ją tylko polać sosem. Stevie poszła na górę, znalazła łazienkę i przekonała się, że Julius nie przesadzał.

Po raz drugi znalazła go śpiącego. Tym razem ten widok tak ją ujął - jego ciało wyciągnięte w wodzie, szerokie ramiona wsparte na łuku białej porcelany, usta zamknięte, rzęsy spoczywające na policzkach - że usiadła na brzegu wanny i przyglądała mu się dobrą chwilę, zanim zaczęła delikatnie głaskać jego nagi tors. Nie obudził się. Zaczęła więc głaskać dalej, mocniej, aż do podbródka i głowy, a potem w dół, ramię, owłosioną klatkę piersiową i niżej, w letniej już teraz wodzie...

Poruszył się, otworzył oczy, uśmiechnął.

- I co, miałem rację? - zapytał.

- Spałeś jak zabity - potwierdziła, chwytając w lot sens jego pytania. - Ale kolacja na stole, a to befsztyk, więc...

- Befszyk! - Oczy mu rozbłysły.

Roześmiała się i wyszła, żeby się ubrać, a ona poszła doprawić sałatkę. Po pięciu minutach on pałaszował kolację, a ona popijała czerwone wino, które jej wmusił, mówiąc:

- Nie mogę się objadać, jeśli ty niczego nie tkniesz!

Miło było patrzeć, jak ukochany mężczyzna zajada, jak ją docenia, unosząc kieliszek w niemym toaście za jej kuchnię.

Nie będę myślała o niczym innym, przyrzekła sobie. Nie zatruję tego wątpliwościami. Jesteśmy razem. I tylko to się liczy. Liczyło się też później, kiedy zmiotł talerz do czysta i wstawił bezceremonialnie do zlewu. Nie musieli omawiać, co robić potem. Przyszło to tak naturalnie jak lato po wiośnie.

Nie było to szalone, namiętne splecenie ciał, bo oboje byli na to zbyt zmęczeni, lecz bardziej subtelne, mało ambitne kochanie się, pełne leniwych, ospałych pieszczot, które przechodziły stopniowo w harmonijne połączenie.

Nie było jednak nic leniwego w ich wspólnym orgazmie.

Stevie dosłownie zaparło dech, tak zaskoczyła ją intensywność tego doznania, bo nadal czuła się rozkosznie odprężona, potem jej jęki zlały się w jednym chórze z jego okrzykami spełnienia. Wreszcie oboje ucichli.

On zasnął pierwszy, jak było do przewidzenia, a ona upała się ciężarem jego głowy na swoim ramieniu, bezwładną dłonią na swojej piersi. W końcu jednak sen zalał ją niczym fala przyływu, a tuż przed zaśnięciem pomyślała, że rano przyjdzie za szybko.

Przyszedł prędzej, niż się spodziewała, i był znacznie gorszy. Obudził ją przenikliwy, jednostajny dźwięk przy samym uchu. Czyżby to jakiś wyjątkowo brutalny budzik? Wokół ciemno jak oko wyko! Chyba to jeszcze noc?

Stevie z trudem się rozbudziła i zrozumiała, że to telefon przy łóżku. Obok stał budzik i wskazywał godzinę trzecią. Zauważyła, że Julius dopiero się budzi z głębokiego snu. Niechże to diabelstwo przestanie! Kto może o tej porze dzwonić?

Pragnęła za wszelką cenę uciszyć ów natarczywy dźwięk, chwyciła więc słuchawkę, gotowa na pomyłkę, na kogoś z zagranicy, kto źle wyliczył różnicę czasu, na wszystko poza tym, co usłyszała w odpowiedzi na swoje chrapliwe „Halo?”

Zdenerwowana kobieta rzuciła głośno, nie panując nad sobą:

- O Boże, Julius? Nie! Gdzie jest Julius? Kto mówi?

Rozdział dziewiąty

Bez słowa odsunęła słuchawkę od ucha i podała ją Juliusowi, który już się rozbudził i usiadł prosto.

- Tak? - spytał, aż zadrgały mu mięśnie twarzy. - Boże, Irene, co się stało?

Irene. Zresztą Stevie już wiedziała. Mimo oszołomienia, mimo zniekształcenia głosu kobiety lękiem, rozpoznała ją. Aż jej się zrobiło słabo. Musiała zacisnąć usta, żeby powstrzymać mdłości, po czym leżąc ze skrzyżowanym kablem telefonicznym na brzuchu i słuchawką o kilka centymetrów od ucha, nie mogła nie słyszeć wykrzykiwania Irene.

- Nie chcę tego rozwodu! Nie chcę być sama!

- Uspokój się, uspokój. Co ty wyprawiasz? Co się dzieje? - dopytywał Julius.

Irene chyba ściszyła głos, bo Stevie przestała ją słyszeć. Bezwładna jak worek kartofli, skuliła się w poczuciu konsternacji i upokorzenia, i odwróciła plecami do Juliusa, czując ściskanie w żołądku.

Jak związek może się udać, skoro tak się zaczyna? - zadała sobie w duchu pytanie. Po takich namiętnych uniesieniach musi leżeć i słuchać, jak mężczyzna rozmawia przez telefon z kobietą, którą niegdyś kochał... z matką swoich dzieci.

Skuliła się, naciągnęła kołdrę na uszy i przycisnęła rękami, by wytłumić jego głos. Może Julius uzna - choć to mało prawdopodobne - że znów zasnęła. Udało jej się uciec od

świata dźwięków, ale po chwili Julius potrząsnął nią delikatnie.

- Stevie? Stevie, śpisz?
- Nie. - Ściągnęła kołdrę z uszu.
- Muszę jechać.
- No jasne.

Nie mogła powstrzymać się od zgryźliwego tonu. Zadzwoiła Irene, no więc on już pędzi, czy to na zabawę szkolną córki, czy do sypialni Irene o trzeciej nad ranem. Jeśli nawet zauważył jej zgryźliwość, nie dał tego po sobie poznać.

- Ona grozi samobójstwem.
- No nie! To jest...
- Jest pijana.
- Och, Julius! Ja...
- Wiem z doświadczenia, że nie powinno być aż tak źle.

Zostań tu i idź spać. Jeśli nie wrócę do rana, przyjedź taksówką do pracy. Oczywiście na mój koszt.

Ale ona nie chciała go słuchać.

- Miałabym tu zostać? Dzwonię po taksówkę!

Nawet nie pytał o powody. Ona sama ich zresztą nie znała, wiedziała tylko, że jest coś obrzydliwego w tej sytuacji. Nie chciała do tego dokładać swojej miłości, pożądania, a zarazem nienawiści do Irene, choć było jej tamtej żal.

Tu jednak Julius się postawił.

- Nie puszczę cię samej taksówką o tej porze! To niebezpieczne.

- Ale ja tu nie zostanę.
- No to muszę cię odwieźć do domu. Ubieraj się prędko, bo bardzo się boję. Ona nie może tak reagować na swoje życie. Wiem, że to tylko gest, ale jeżeli się przeliczy...

Wyjął z garderoby granatowe spodnie dresowe, granato-

wo-białą górę, białą koszulkę i błyskawicznie się ubrał. Nigdy przedtem nie widziała go w takim sportowym stroju. Czyżby szykował się do akcji?

Mogła jedynie pójść w jego ślady. Niestety, miała tylko wczorajszą ceglastą ciepłą sukienkę, dobrane pod kolor pantofle i jedwabną halkę. Kiedy mocowała się jeszcze z suwakiem, on już wyskoczył z pokoju. Po krótkiej chwili usłyszała jego głos, stanowczy, lecz czuły. Co on mówił? Ruszyła za nim.

Ale to było do Irene. Zbiegał po schodach z czarnym telefonem komórkowym przy uchu, jak gdyby to była lina ratunkowa... bo tak i było. Ratował życie Irene.

- Nie pozwolę, żebyś marnował czas na odwożenie mnie do domu! - rzuciła trzeźwo, biegnąc za nim.

- A ja nie pozwolę, żebyś o trzeciej nad ranem wracała taksówką do pustego domu. - Odwrócił się do niej, zakrywając mikrofon słuchawki. - Więc jakie jest inne wyjście?

- Weź mnie ze sobą. - Bardzo tego nie chciała, ale najwyraźniej to był jedyny możliwy kompromis.

Prędzej czy później będą musiała stawić czoło Irene. Bo ona nie odejdzie! Może więc lepiej prędzej.

Nawet się nie zastanowiła, jak ważką decyzję podjęła. Oznaczało to, że przyjęła Juliusa z jego trudnym, bolesnym bagażem przeszłości i że przyjmie to, co ten związek ze sobą przyniesie - przybrane dzieci, zazdrosną byłą żonę, pół życia trudnych ludzkich spraw.

- Wziąć cię? - spytał, mrużąc oczy. - Na pewno?

- Może się na coś przydam - powiedziała po prostu.

Ze względu na późną, a może wczesną porę, dotarli do Rose Bay w dziesięć minut. Julius przez całą drogę mówił coś przez telefon na przemian ze złością i troską.

W końcu przykazał jej:

- A teraz odkładam słuchawkę. Skręcam w twoją ulicę.
Nie ruszaj się!

Po pół minucie podjechał pod wspaniały dom z imponującym widokiem na port z jednej strony i ocean z drugiej. Wyraźnie Irene wniosła majątek do tego małżeństwa, bo nawet najlepszy lekarz naukowiec nie zdołałby na coś takiego zarobić. Jeśli podział majątku po rozwodzie zmusi ich do sprzedaży domu, przyniesie zapewne ładnych kilka milionów dolarów.

Tymczasem Julius już wysiadł i pędził chodnikiem w stronę schodów prowadzących do domu. Stevie za nim. Patrzyła bez zdziwienia, jak wkłada klucz do drzwi wejściowych. W środku zachowywał się równie pewnie.

Wbiegł oświetlonymi marmurowymi schodami na ostatnie piętro do szykownego buduaru. Tam, twarzą do drzwi, stała Irene. Usłyszała ich przyjazd i czekała.

- Przywiozłeś... - odezwała się.

- Stevie - potwierdził. - Gdyby dzieci się obudziły.

No właśnie. Gdyby się obudziły, mogłaby się nimi zająć, kiedy Julius zajmowałby się Irene, chociaż ani on, ani Stevie nie omówili tego przedtem.

Irene nie skomentowała jego słów, lecz rozszlochała się bez opamiętania. W jednej ręce trzymała szklankę z trunkiem, zbiegłe palce drugiej zaciskała na fioletowej białych tabletek. Julius też je dostrzegł.

- Irene - powiedział - obiecałaś. Obiecałaś, że tego nie zrobisz...

Ale jej szloch się nasilił. Pociągnęła go do łazienki i wskazała mu bez słowa panujący tam bałagan.

Stevie widziała wszystko przez otwarte drzwi - luksusowe pomieszczenie z jaskrawym oświetleniem, pozłacaną armaturę, olbrzymie lustro, antyki i wielkie jacuzzi. Drzwiczki

apteczki były otwarte, dokoła poniewierały się porozrzucane tabletki. Na umywalce leżała brzytwa, a z niej ściekała strużka krwi.

Stevie dostrzegła ten szczegół i znów poczuła mdłości. Ten bałagan i rozpacz w takim luksusie sprawiły, że poczucie winy w jej ustach nabrało posmaku gorzkiego owocu.

Czyżby mój związek doprowadził tę kobietę do ostateczności? Ale ja nie wiedziałam! Przez wiele miesięcy mieszkał sam, zanim się związaliśmy. I co on przed nią ukrywa?

Blondynka, na oko po czterdziestce, rzuciła się do umywalki, jak gdyby chciała złapać brzytwę lub garść rozrzuconych tabletek. Stevie zamarła, lecz Julius dostał furii.

- Tak myślałem! - krzyknął. - Ile naprawdę wzięłaś, Irene? Co tu naprawdę zaszło?

- Ja... ja nie wiem. Kilka. Chciałam więcej, ale mi się rozsypały. Bo mi się trzęsły ręce. Dlatego nie wyszło mi z brzytwą.

Głos jej się załamał, lecz Julius nastawał:

- Nie błaguj! Nie wiem, o co ci chodzi, Irene, ale ci się nie uda. Nie rozumiesz? Mnie nie nabierzesz na melodramat. Dostałem bolesną nauczkę właśnie od ciebie, więc jeśli się jeszcze nie zorientowałaś, to... - Nawet nie dokończył. - Masz syrop z korzenia wymiotnicy?

Nie czekał na odpowiedź, tylko zaczął przewalać stos leków w otwartej apteczce. Wkrótce znalazł to, czego szukał.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro Irene.

- Jeżeli chcesz się zachowywać jak dziecko, to tak cię będę traktował. Uraczę cię tym syropkiem, a jeśli istotnie, w co niezbyt wierzę, połknęłaś większą dawkę rozrzuconych tu artystycznie specyfików, to wszystkie zwrócisz, zanim stanie ci się jakaś krzywda. Tu nie ma łyżeczki. Stevie, skocz

do kuchni i przynieś łyżeczkę. I szklanę soku z wodą do popicia.

- A gdzie...?

- Kuchnia jest na końcu korytarza za schodami. Łatwo trafić. Ma wahadłowe drzwi.

Skinęła głową i wyszła, oniemiała z przerażenia. Co za brutalność. Jeżeli właśnie w takim duchu przebiegało ich małżeństwo...

Co ja wyprawiam? Zakochuję się w kimś takim...
W kimś, kto doprowadził żonę do takiego...

Znalazła kuchnię. Po kilku minutach przetrząsania niezliczonych szuflad i przepastnej lodówki znalazła łyżeczkę, szklanę, sok i przyniosła wszystko na górę. Stwierdziła, że panuje tam już zupełnie inny nastrój.

Tabletki znikły - zapewne pobierane i spuszczone z wodą. Irene była spokojna, może nawet speszona. Siedziała na brzegu jacuzzi, Julius obok. Trzymał ją czule i przemawiał ciepłym, zatroskanym głosem.

- Na miłość boską, jeśli chcesz urządzać takie sceny, to serwuj je Gary'emu, a nie mnie. Ja ci dałem wszystko, co w mojej mocy. I czego w głębi serca ode mnie oczekujesz. Musisz się z tym pogodzić!

- Ale czy ty mnie kochasz? - spytała łamiącym się głosem.

- Oczywiście, że tak - odparł sztywno.

Nic dziwnego, że zaledwie sześć godzin wcześniej poinformował Stevie, iż to „tylko słowa”. Zastanowiła się, kim też może być ten Gary. Nowa sympatia Irene? Najwyraźniej i ten związek jej się nie układał.

Patrzyła, jak Julius wpycha Irene do ust łyżeczkę syropu z ipekakuany. Ledwie zdążyli wyjść, a zaczęła wymiotować.

- Wzywam karetkę - powiedział, kiedy zostali sami.

W jego głosie wyczuła więcej troski niż gniewu. - Nie mów składnie, co wzięła. Twierdzi, że kilka godzin temu wzięła proszki przeciwbólowe, a przy tym sporo piła. Nie chcę ryzykować uszkodzenia wątroby, do którego może dojść przy tak dużym stężeniu alkoholu w połączeniu z paracetamolem. Nawet jeśli to drobiazg, może noc w szpitalu ją wystraszy.

- Wystraszy? - syknęła oburzona Stevie. - Jak możesz być taki okrutny? A jej uczucia? A dzieci?

- Sądzisz, że to jest dobre dla dzieci? - odparował. - Jeżeli szybko nie pogodzi się z rzeczywistością, to skrzywdzi je nieodwracalnie. Mami je przyszłością, na którą wcale się nie zanoszą, z pominięciem faktów. Niedługo będzie za późno. Mówi o rozwodzie, ale nie dopuszcza myśli, że po podziale majątku będzie musiała się stąd wyprowadzić...

- To bardzo ładny dom - rzekła Stevie z bolesnym nawet dla niej sarkazmem.

- Ale to nie może przesądzać o jej życiu! - rzucił zapalczywie. - Ani o moim! Wyraźnie jej żałujesz. Kocham cię za tę życzliwość, Stevie...

- Tylko mi nie mów o miłości - powiedziała z zaciśniętymi ustami. Patrzyła, jak oczy mu rozbłysły. Sięgnął po telefon przy łóżku i wykręcił numer pogotowia.

- Zostanę z dziećmi - poinformował Stevie. - Weź mój samochód i jedź do domu. Rano odstawię cię do ośrodka. Lauren zawiozę taksówką do szkoły i przyjadę stamtąd. Kyle może pójść pieszo, bo ma szkołę w Cranbrook, a to bardzo blisko stąd.

- W porządku - zgodziła się.

Nie chciała wysłuchiwać szczegółów z życia jego dzieci, bo nie miała zamiaru ciągnąć tego dłużej. Nie chodziło już tylko o Irene i cały ten mętlik emocjonalny. Raczej o jego odrażającą łatwość do składania deklaracji miłości dwóm

kobietom jednej nocy, z pominięciem cierpienia obu. A mimo to go kochała. W przeciwnym razie tak by jej to nie zabolalo.

- Przed wyjściem posprzątam w łazience - zaoferowała się, bo znów doszedł do głosu jej instynkt dawania.

Nawet jeśli miał zamiar się sprzeciwić, to nie dała mu na to czasu. Dłuższą chwilę zabrało jej starcie krwi z umywalki, sprawdziła, czy po podłodze nie walają się zapomniane tabletki, przemyła gąbką puder, szminkę i mleczko kosmetyczne rozmazane w wielu miejscach. Potem ustawiła dwie przewrócone fiolki, a nawet przetarła lustro. Irene siedziała i patrzyła na nią bez słowa.

Cała ta scena była bardzo dziwna, wręcz dramatyczna. Ale czy można oskarżać Irene o rozpaczliwe wołanie o pomoc, skoro kocha Juliusa i chce go odzyskać? Czy go kocha? Julius twierdził, że chodzi jej tylko o dom...

Myśli Irene musiały krążyć wokół czegoś podobnego.

- Myślisz poważnie o Juliusie? - spytała nagle.

- Nie - odparła zwięźle Stevie.

Irene nie dała za wygraną, lecz dodała skwapliwie:

- Bo jeśli tak, to cię skrzywdzi.

Nie było czasu przyznać, że już to zrobił, bo usłyszała krótkie wycie syreny podjeżdżającej pod dom. Choć i tak nie przyznałaby się Irene. Ból był znacznie głębiej.

- Czyżby dopadła cię ta sama grypa co Aimee? - spytała kilka godzin później Ros. - Bo wyglądasz koszmarnie.

Stevie wiedziała, że to prawda. W domowym lustrze zobaczyła własną twarz - bladą, mizerną, wory pod oczami.

Pojechała samochodem Juliusa do domu, jak jej kazał, dotarła tam po czwartej, przeleżała trzy godziny w łóżku, chociaż przesadą byłoby twierdzenie, że je przespała. Ledwie

się zdrzemnęła, nękana koszmarami, ze snu wyrwał ją budzik.

Gdyby przyjechała za późno do pracy i ktoś zobaczyłby ją za kierownicą samochodu Juliusa, musiałaby się gęsto tłumaczyć. Na szczęście nie musiała. Wzięła prysznic, zjadła coś w locie, bo nie była głodna, i jako pierwsza zjawiała się w pracy.

Łatwo byłoby skłamać Ros, że łamie ją grypa. Koleżanka na pewno wysłałaby ją do domu, by wyleżała się przez weekend. Tego jednak nie chciała, bo koniecznie musiała spotkać się z Juliusem, dopóki jeszcze gniew bierze górę nad cierpieniem.

Od początku, powtarzała sobie w kółko, miałam wątpliwości. Bałam się, wiedziałam, że to nie może być takie proste. No i nie było! A potem przebaczyłam, zrozumiałam, ale i to nie wystarczyło. Bo są pewne granice! Nie zamierzam wpuszczać Juliusa do swojego życia, skoro nie kocha na tyle ani mnie, ani Irene, żeby dokonać wyboru. Może ona nie ma dość ambicji, żeby z niego zrezygnować, ale ja mam! I tak zrobię!

Udało jej się zbyć Ros jakimś ogólnikiem o źle przespanej nocy. Tylko bez kłamstw! Ros chciała wysłać ją do domu, lecz Stevie była nieugięta.

- Jeżeli prześpię się w dzień, to nie zasnę w nocy - oświadczyła. - To prawda, jestem zmęczona, ale wytrzymam. Odpocznę w weekend. W tym tygodniu nie gramy.

Może szkoda, bo śpiewanie pozwoliłoby jej się oderwać od cierpienia. Nauczyła się tego podczas choroby i śmierci mamy. Dobrze, że chociaż nazajutrz miały próbę.

Liz zapowiedziała, że nie przyjdzie, więc próba będzie byle jaka. Wybierała się na terapię. Miała dostać jod radioaktywny w płynie na zmniejszenie tarczycy do rozmiarów

pozwalających na wytworzenie niezbędnej organizmowi tyroksyny. Potem specjalne badanie miało ustalić, czy osiągnięto pożądaný skutek. Jeżeli nie, równowagę miały zapewnić regularnie przyjmowane tabletki. Zajrzała tylko do Stevie w drodze na Oddział Medycyny Nuklearnej Szpitala Southshore. Przywiózł ją brat, który podtrzymał ją na duchu. Wyraźnie była przejęta.

- Doktor Marr twierdzi, że to tylko jeden łyk, ale wiesz... Zawsze nienawidziłam lekarstw. Kiedy coś źle smakuje, to aż mnie mdli. A jak mnie zemdli, zakrzuszę się i nie wypiję do końca? Na pewno to paskudztwo ma okropny smak!

- Och, Liz! - zbesztła ją Stevie. - Wmawiasz sobie!

- No może. Tak to jest, jak ktoś nie chorował przez całe życie. Dlatego teraz odchodzę od zmysłów!

I wyszła pozytywnie nastawiona.

O dziewiątej przyszedł Julius. Zdążył na dyżur, ale nie miał czasu przywitać się ze Stevie. Padał z nóg tak samo jak ona, a na twarzy malowało mu się napięcie.

Złapał ją w przerwie obiadowej tuż przed wyjściem z ośrodka. Kupiła sobie kanapki, chciała więc skoczyć do pobliskiego parku i tam je zjeść, nawet nie wysiadając z auta!

- Chcesz wiedzieć, co z Irene? - spytał, zanim zapaliła silnik.

- Niekoniecznie. - Jej gruboskórna odpowiedź była jedynie zasłoną dymną, ale nic Juliusowi do tego.

- Mimo to chciałbym ci powiedzieć - dodał.

- No to powiedz.

- Nic jej nie jest. Jeszcze dziś rano ją wypiszą. Nie stwierdzono uszkodzenia wątroby ani żadnych skutków od przyjętych leków. Co najwyżej lekkie odwodnienie, głównie z powodu kaca. Ale musiałem się upewnić.

- Oczywiście.

- Irene ma zwyczaj urządzać takie przedstawienia, ale to tak jak z tym pastuszkim, który wołał, że przyszedł wilk. Ten jeden raz, kiedy wszyscy go zlekceważą, zagrożenie okaże się prawdziwe. Bo w głębi serca wierzę...

- Czy ty naprawdę uważasz - przerwała mu ostro - że mnie to bawi, że odrzucasz kogoś, kto do niedawna stanowił integralną część twojego życia? No więc nie! Wydaje mi się to obrzydliwe. Na szczęście widziałam dostatecznie dużo, żeby z tobą zerwać, zanim i mnie zaczniesz traktować podobnie!

- Stevie...

- Tylko się nie tłumacz.

- Nie mam zamiaru. - Powiedział to nie mniej zawziętym tonem niż ona. - Uważasz, że to nielojalne wobec...

- „Nielojalne” to za słabe słowo - przerwała mu, po czym zamknęła okno, zapaliła silnik i odjechała.

Wieczorem przyszedł do niej po dniu potwornego, tłumionego napięcia z obu stron. Stevie nawet się nie zdziwiła, widząc go na swojej ścieżce. Zrazu chciała się schować, nie otworzyć, ale uznała, że przynajmniej tyle jest mu winna. Kiedy jednak stała w drzwiach, zasłaniając sobą wejście do domu, w którym niedawno tak chętnie go gościła, nie pozostawiła żadnych wątpliwości co do stanu swoich emocji.

- Nie chcesz nawet o tym rozmawiać? - spytał tłumionym głosem.

Gniew podkreślał tylko jego męskość. Nigdy przedtem nie czuła do niego takiej wrogości... ani takiego požądania.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Chyba wyraziłam się jasno? Co jeszcze chciałbyś dodać, skoro nie chcę słuchać żadnych „tłumaczeń”?

- Mimo że wczoraj wieczorem się kochaliśmy... Byłaś czuła jak żona, podałaś mi kolację, obudziłaś mnie w wannie.

- Czuła jak żona? O, wypraszam sobie! - rzuciła cierpko.

- Kochaliśmy się, Stevie, i było cudownie. Nie miałaś tej złości. Skoro Irene... - Urwał, a potem ciągnął ostrożnie: - Skoro jej wołanie o pomoc zmieniło tak drastycznie sytuację między nami, chyba mam prawo wiedzieć, dlaczego?

- Przecież ci wyjaśniłam. Zachowałeś się tak, że nie mam na to słów.

- Gdybym jednak - dodał prędko - zrobił to, o co mnie prosiła, to zabrakłoby w moim życiu miejsca dla ciebie. Skąd u ciebie taka nagła wielkoduszność?

- Wobec ciebie wcale nie jestem wielkoduszna. - Roześmiała się zgryźliwie. - Przyjęłabym cię bardzo samolubnie z całym twoim bagażem emocjonalnym, gdybym sądziła, że będziesz traktował mnie inaczej niż Irene. Wczorajszej nocy. .. nie, dzisiaj rano - sprostowała drwiąco - bladym światem pokazałeś swoje prawdziwe oblicze.

- Mylisz się. - Widać było, że jest bliski załamania. - Mógłbym cię przekonywać w nieskończoność, ale słowa niewiele znaczą. Ale ty mi nie dasz udowodnić sobie tego czy-nem, prawda?

- Żebyś wiedział. Nie dam.

Spodziewała się czegoś więcej, lecz on zacisnął usta, obrócił się na pięcie i wyszedł. Tylko chrzęst żwiru na ścieżce przerwał ciszę jesiennego wieczoru.

Roztrzęsiona weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Po chwili usłyszała warkot jego samochodu.

Formalnie rzecz biorąc, odniosła zwycięstwo. Postawiła na swoim - zerwała z nim. Do niej należało ostatecznie słowo. No więc dlaczego czuła się tak okropnie pokonana?

Rozdział dziesiąty

- Stevie, ależ ty masz napięty głos! - wytknęła jej Alex w czwartek wieczór, kiedy siedziały u niej w salonie, opracowując aranżację dwóch nowych piosenek. - Chyba nie bierze cię grypa, co? Bo wyglądasz koszmarnie!

- Jeżeli jeszcze ktoś mi to powie, to chyba... - Stevie urwała. Zdradziłaby się, gdyby wybuchała gniewem, słysząc takie życzliwe pytanie. - Nie, to nie grypa, tylko ostatnio nie najlepiej śpię. Boli mnie krzyż - wymyśliła na poczekaniu, niezupełnie mijając się z prawdą. - Pewnie to rwa kulszowa. Może przesunął mi się dysk. Muszę się wybrać do lekarza.

Praca w ośrodku zdrowia podsuwała człowiekowi wspaniałą repertuar wymówek medycznych, aczkolwiek prostolinijna Stevie zlekła się, że może jej to wejść w krew.

- Nieboraczka - uzałiła się nad nią Jennie. - To może przerwiemy? I tak nie dopracujemy wszystkiego bez Liz.

- A właśnie, co u niej? - spytała Alison. - Dlaczego nie przyszła?

- Uznała, że kuracja tarczycowa to dobry pretekst do zasłużonego wypoczynku - odparła Stevie. - Podobno wypła bez trudu ten jod, o co tak się bała. Wpadłam dziś do niej po pracy i zastałam ją na kanapie z pismem w ręce. Chyba po raz pierwszy widziałam ją w pozycji horyzontalnej w jej własnym domu. Ma wspaniałe dzieci. Trochę się wystraszyły, kiedy się przekonały, że ona też nie jest nie do zdarcia.

- Wcale się nie dziwię - rzekła Jennie. - Nie znam się na tarczycy, Stevie. Czy rokowania są dobre?

- Podobno tak. Ale jeśli zadbać o siebie, a Liz z pewnością teraz zadba, to szybko jest po kłopotcie. Niektórym ludziom potrzebne są przeciwtarczycowe leki podtrzymujące, lecz to się okaże dopiero za jakiś czas. Czasami niezbyt twarzowe wole wymaga interwencji chirurgicznej, ale u Liz ono nie wystąpiło, bo wówczas albo ona, albo ktoś z bliskich wcześniej by się zorientował. Chociaż nie znam się tak dobrze na medycynie.

- Ale zamierzasz się poznać, prawda? - wypaliła Alex, jak zwykle bez ogródek. - Bo widziałam u ciebie na stole w kuchni informację o kursach uniwersyteckich.

Stevie lekko się zarumieniła.

- Miałam schować...

Dobrze że Alex przynajmniej nie pyta o jej życie miłosne!

- Niby dlaczego? - spytała Alex. - Jeżeli chcesz w tym wieku skończyć pielęgniarstwo, pierwsza ci przyklasnę.

Alison i Jennie poparły ją równie entuzjastycznie. Stevie ledwie ukryła zmieszanie. Owszem, myślała o zdobyciu kwalifikacji pielęgniarских albo w pokrewnej dziedzinie służby zdrowia. Posłała po materiały z kilku zakonów tercjaruszek, ale wciąż się z tym kryła. Czterdziestka za pasem. Czy to naprawdę wiek na śmiałe nowe posunięcia?

Tak sądziła jeszcze kilka tygodni temu, ale teraz ogarnęła ją gorycz. Już raz, piętnaście lat temu, nie dokończyła szkoły pielęgniarskiej. Może to jej los - niespełnione życie, podcięte skrzydła.

Na miłość boską, przestań się nad sobą użalać! Potoczyła wzrokiem po trzech koleżankach, ale te na wyścigi zarysowały przed nią nowe widoki w jej życiu. Kiedy im w koń-

cu odpowiedziała, w jej głosie brzmiała nowa nuta nadziei i determinacji.

- Na pewno przyda mi się wasze wsparcie – oznajmiła - bo będę studiowała zaocznie, a po takiej przerwie nauka nie przyjdzie mi łatwo. Ale, owszem, spróbuję zapisać się w przyszłym roku na pielęgniarstwo.

- Julius, widziałeś? - rozległ się piskliwy głos Irene.

Był czwartek, dziewiąta wieczór. Julius siedział w domu, biurko miał usłane papierami, w tle cicho grała muzyka klasyczna.

- Czy co widziałem, Irene?

Nie zdziwiła go bynajmniej ta drastyczna zmiana nastroju w porównaniu z nocą. Rano wypisano ją ze szpitala. Niedługo potem zadzwoniła do niego z wiadomością, że chce „odpocząć w domu”. Choć w środku czuł frustrację i gniew, wiedział, że Irene należy się odpoczynek. I to porządny.

A teraz dzwoniła, kipiąc oburzeniem i jednocześnie podnieceniem. Domyślał się, skąd to podniecenie. Miał tylko nadzieję, że wczoraj nie obiecał jej zbyt wiele.

Powiedział jej o rozmowie telefonicznej z Garym, który bawił w Perth. Gary bardzo się przejął, brał winę na siebie i twierdził, że bardzo się stęsknił. Dokładnie tak się wyraził. Może nie powinienem był jej mówić. Jeżeli jej nadzieje zbyt nio wzrosną i przestanie się starać...

- Pytasz „co”? - powtórzyła. Skupił się na jej słowach.

- Widziałeś najnowszy numer pisma Petera Harknessa?

- Nie widziałem - odparł. - A dlaczego pytasz?

Nie lubił, jak wyrażała się z taką nonszalancją o różnych czasopismach medycznych. Dlaczego nie mogła po prostu mówić „Lancet” czy „B.M.J.” jak wszyscy?

Znał jednak odpowiedź. Po trosze z powodu specyficznych potrzeb emocjonalnych, które tak się kłóciły z jej błyskotliwą inteligencją. Jeżeli znała wydawcę lub redaktora naczelnego jakiegoś czasopisma osobiście, zaraz było to dla niej pismo „Petera”, „Kate” albo „Russella”.

- Dlatego - wyjaśniła - że jakiś smarkaty doktor z jakiejś okropnej uczelni amerykańskiej nas ubiegł i opublikował wyniki w tym miesiącu.

W pierwszej chwili Julius poczuł strach, lecz zaraz przypomniał sobie, z kim rozmawia, i spytał cierpliwie:

- Zaczynaj od początku, Irene. Ze szczegółami. W czym konkretnie nas ubiegł?

Zrelacjonowanie całości zabrało jej ładnych kilka minut. Przez ten czas zdążył przejrzeć pocztę, znaleźć rzeczony numer pisma i artykuł. Teraz przeglądał go, a Irene podawała mu numery stron i akapity. Jak zwykle mocno przesadziła. Owszem, istniały pewne zbieżności z badaniami ich i owego doktora Mortona Nederlandera, który doszedł do podobnego wniosku w podobnej dziedzinie, ale Julius nie dopatrywał się w tym niczego złego.

Wręcz przeciwnie. Nic lepszego dawno nie usłyszał. Koniec z tym gonieniem. Doktor Nederlander opublikował wyniki badań pierwszy. To świetnie! Czyli nie ma teraz sensu się śpieszyć, żeby zdążyć na wyśrubowany termin. Znacznie lepiej przedstawić wyniki swych badań w odpowiedzi na badania doktora Nederlandera, zatem mają kilka miesięcy, a nie tygodni. Może się więc odprężyć, znów żyć jak człowiek, wrócić do roli konsultanta ostatecznych wersji spisywanych przez swoją byłą partnerkę w badaniach, a nie brać tak jak przez ostatnie dwa miesiące lwiej części pracy na siebie.

Z ulgą poczuł, jak ciężar spada mu z ramion, lecz po chwili przypomniał sobie o Stevie. Wczoraj dała mu boleśnie

do zrozumienia, że uważa ich związek za skończony. Pogodzi się z tym czy zawalczy, rzucając wszystko na jedną szalę?

- Jesteś pewna, Aimee, że już możesz wrócić do pracy? - spytała doktor Rebeka Irwin, upijając łyk parującej kawy.

- To mój ostatni dzień, pani doktor. Jak mogłabym nie przyjść? Zresztą czuję się już dużo lepiej, chociaż wiem, że to po proszkach!

- Na miłość boską, nie chodziło mi o to, żebyś w ogóle nie przychodziła! - ofuknęła Aimee atrakcyjna młoda brunetka. - Ale na pewno Ros wybaczyłaby ci, gdybyś wpadła tylko na pożegnalne śniadanie i wróciła do domu.

Cały personel ośrodka zebrał się w recepcji jeszcze przed otwarciem. Na pożegnanie Aimee i Rebeki Irwin przygotowano specjalne śniadanie, czyli sałatkę owocową z croissantami.

Rebecca też odchodziła dzisiaj z ośrodka. Przepracowała tu kilka miesięcy na pół etatu w systemie wielozmianowym. Kliniką jej ojca bardzo się rozrosła, chciał ją więc przyjąć na pełny etat.

- Martwiłam się tylko, żeby pani nie zaraziła się ode mnie grypą - powiedziała Aimee rozpromienionej młodej lekarce.

- Nie chciałabym pani zepsuć jutrzejszego ślubu!

Doktor Irwin spłonęła rumieńcem.

- Chyba nikt by nie zdołał! - oznajmiła. - No może, gdybym pokłóciła się z Harrym.

- Nie przypuszczam, że się z nim często kłócisz, Rebeko – wtrącił Gareth Searle, dyrektor ośrodka zdrowia, a przy tym stary przyjaciel ojca Rebeki.

- I srodze się pan myli! - odparła zapalczywie. - Bo kłócimy się bez przerwy! Tyle że to miłe kłótnie...

Uśmiechnęła się nieco złośliwie, a zarazem marzycielsko, i dodała:

- A co do grypy, istotnie trzymam kciuki, żeby żaden pacjent dziś na mnie nie kichnął. Chociaż jedziemy w podróż poślubną aż na miesiąc, chyba więc całego miesiąca nie przechorujemy!

- A dokąd? - spytał Julius.

- Do Europy. Żadne z nas tam nie było. Nie sądziliśmy, że wygospodarujemy aż tyle czasu, ale tata się uparł. Nie mogę się doczekać. Julius, musisz nam poradzić, co mamy zobaczyć.

Stevie żałowała, że stoi w tamtym kółku. Chciała posłuchać o planach Ros i Aimee. A teraz dołączył do nich Julius...

Inaczej dzisiaj wyglądał. Był mniej zmęczony, mniej zestresowany. I roztaczał aurę determinacji. Nie podobało jej się, że tak go wypatruje, że odnotowuje te wszystkie niuansy. Wciąż napotykała jego wzrok, co również doprowadzało ją do furii. W środę najwyraźniej pogodził się z jej stanem ducha, a dziś wyraźnie czuła, że szykuje się bitwa.

- Niewiele ci pomogę, Rebeko - rzekł przekornie. - Moja znajomość Europy ogranicza się do sal konferencyjnych w Amsterdamie, Mediolanie, Edynburgu i Bordeaux.

- Nie byłeś nigdy w Paryżu?

- Dwie godziny przejazdem na lotnisku Orły.

- A w Londynie?

- Tę konferencję odwołano.

- A w Toskanii?

- Podobno widok z okna samolotu zasłoniły chmury, ale i tak byłem wtedy zatopiony w lekturze pisma fachowego.

- Jesteś niesamowity! - Rebeka się roześmiała.

- Dlatego, że nie zwiedziłem porządnie Europy?

- Dlatego, że ci to nie przeszkadza.

- Ale mam zamiar to nadrobić.

- Tak?

- Może. - Wzruszył ramionami, po czym dodał swobodnie: - Stevie, zajrzysz na chwilę do mojego gabinetu?

Tak ją tym zaskoczył, że zgodziła się, zanim w ogóle pomyślała, że istnieje coś takiego jak odmowa.

Po chwili znaleźli się sami.

- Nie zajmie mi to długo - zaczął. - Chciałem ci tylko przekazać dobre wiadomości.

Zrobił krótką przerwę, jak gdyby czekał na jej reakcję, ale się na nią nie zdobyła, więc przystąpił do rzeczy.

- Stevie, mam nadzieję, że to właściwie zrozumiesz.

Wczoraj wieczorem odebrałem wiadomość, która wyraźnie zmniejszy moje przepracowanie, a też zasadniczo zmieni moją sytuację z Irene. Nie wiem, czy ona to już rozumiała, ale zrozumie. Rozmawiałem też z Garym. Bardzo się przejął jej niedawnym postępkami i postanowił wszystko przemyśleć. Nie zdziwiłbym się, gdyby... - Urwał, lecz zaraz dodał:

- Ale dla nas dwojga to bez znaczenia.

- Jakich nas? Przecież my nie jesteśmy żadną parą - odcięła się Stevie. - Już to przerabialiśmy!

Widziała, jak go to ubodło.

- No dobrze - powiedział. - Nie czas teraz ani miejsce na takie rozmowy.

- W takim razie mnie puść. Mam pracę.

- To pędź. Chciałem się tylko z tobą podzielić radosną nowiną.

- Gratuluję - odparła, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że nadal jej na nim zależy.

Ten ranek okazał się dla Stevie ciężki. Zewsząd otaczał ją

nastrój podniecenia. Rebeka emanowała radością i oczekiwaniami. Miała spóźnienie, bo od rana załatwiła trzy telefony w sprawie wesela.

Uroczystość miała być skromna.

- Ale i tak kłopotów co niemiara - pożaliła się Stevie.

- Co nas napadło, żeby zamawiać kwartet smyczkowy?

- Przykro mi, że Rebeka będzie w podróży poślubnej podczas mojego pierwszego miesiąca pracy w nowym miejscu - wyznała Aimee. - Obym tylko w poniedziałek nie dostała tremy.

- Nie wyobrażam sobie siebie z tremą - zaprotestowała Stevie szczerze. - Zawsze wydajesz się taka opanowana.

- Oj, zdziwiłabyś się...

A kiedy Stevie miała wyjść o pierwszej na lunch, do ośrodka wparadowała szykowna blondynka, stukając nadzwyczaj wysokimi obcasami. Stevie poznała Irene.

Na szczęście w recepcji siedziała właśnie Ros Reynolds, a obie panie się nie spotkały, obyło się więc bez napięcia.

- Dzień dobry - przywitała ją Ros uprzejmie. - Czy pani jest umówiona z lekarzem?

- W pewnym sensie. - Irene uśmiechnęła się pewnie.

- Przyszłam spotkać się z Juliusem na lunchu.

- Czy on pani oczekuje?

- Tak. Jestem jego byłą partnerką naukową. - Irene pochwyciła wzrok Stevie, która weszła właśnie do recepcji z niesfornym naręczem kart pacjentów, i dodała: - Chociaż niedługo chyba będę mogła nazwać się jego narzeczoną.

- Moje gratulacje - mruknęła Ros, zdumiona tym wyraźnie zbędnym wyznaniem. A może to było oświadcze-

nie? Na wszelki wypadek wykrzesła z siebie więcej entuzjazmu: - Życzę szczęścia...

- Irene! - Julius wyszedł, nie kryjąc gniewu.

Usłyszał słowa Irene i zobaczył, jakie wywarły na Stevie wrażenie. Skamieniała jak rażona piorunem... choć wydawała się bardziej stropiona niż zdziwiona. Po chwili nasunęło mu się trafne porównanie. Wyglądała jak bokser, który spodziewa się ciosu w szczękę, a dostaje w brzuch.

Gdyby był brutalniejszy, potrząsnąłby Irene. Jego narzezoną? Nie zdążyła się jeszcze zorientować, że wcale nie chodzi mu o małżeństwo z nią? Najwyraźniej. Należała do kobiet, które potrzebują mężczyzn tak, jak potrzebuje się tlenu. On zaś pozostawał na jej skinienie tylko ze względu na konieczność dokończenia wieloletnich wspólnych badań, które wreszcie zwieńczyli sukcesem, chociaż już dawno powinien był usunąć się taktownie z jej życia, bardziej nawet dla jej dobra niż dla swojego.

Wczoraj wieczorem, kiedy przekonał ją w sprawie Mortona Niderlandera, zaproponowała lunch, by to uczcić. Ponieważ był to ostatnio jedyny triumf w jego życiu, zgodził się. Nie przyjąłby jednak zaproszenia, gdyby wiedział, że przyjdzie tu i zrobi w obecności Stevie taką scenę. Tym bardziej że Stevie posądza nas o zadawniony, poważny związek. Co ona sobie myśli? I dlaczego?

Irene czekała. Chciał natychmiast porozmawiać z nią poważnie na temat Gary'ego. Nie mógł teraz zajmować się Stevie. A kiedy? Nigdy, jeśli ona się nie zgodzi. Nie dopuszczał do tego, pomyślał, a na głos powiedział:

- Idziemy. Mogę poświęcić tylko godzinę, a tyle jest do omówienia.

- Zaraziłaś się ode mnie grypą, co? - spytała Aimee Stevie, kiedy godzina Juliusa dobiegała końca.

W tym tygodniu ktoś ją o to pyta chyba szósty raz, a może siódmy. Już nie mogła się doliczyć.

- Wiesz... - zaczęła.

- Idź do domu - pogoniła ją Aimee. - Cokolwiek to jest, wyleż się i odpocznij.

- Dasz sobie radę?

- Jasne. Może wpadnie Anna. Zawsze chętnie bierze godziny nadliczbowe, bo spłaca teraz hipotekę.

- No dobrze.

Ponieważ Stevie męczył straszliwy ból głowy, nie miała apetytu i padała z niewyspania, czuła, że powinna pójść do domu. Godzinę później leżała w łóżku, zasłoniwszy przedtem okna. Czekala, aż zadziałają dwa proszki od bólu głowy. Szkoda, że na inne, mniej fizyczne dolegliwości nie ma tak szybko działającego lekarstwa. Z tą myślą zasnęła...

Obudziła się po kilku godzinach z ciężką głową. Ktoś walił do drzwi. Otumaniona, powlokła się korytarzem, nawet nie zastanawiając się, kto to może być.

Julius.

- Aimee powiedziała mi, że wróciłaś do domu z grypą.

Wszedł zdecydowanie, nie dając jej czasu na zamknięcie mu drzwi przed nosem. Czy zdobyłaby się na to, gdyby była w pełni przytomna?

- To chyba tylko migrena. Już mi lepiej - wyznała.

- No, nie wyglądasz dobrze - przygadał jej delikatnie.

- Bo spałam.

- I jeszcze niezupełnie się ocknęłaś, prawda?

- Zaraz się ogarnę - powiedziała.

- Odśwież się w łazience, a ja ci zrobię coś do picia.

Herbaty? Czy może zimnego džinu z tonikiem?

- Herbaty - rzuciła pośpiesznie. Nie chciała, żeby bodaj kropla alkoholu podsyciła jej żar i gniew.

Spryskanie twarzy i kilka łyków zimnej wody ją ożywiło, ale nie ujęło stresu. Kiedy weszła do kuchni, serce jej się ścisnęło. Julius wyglądał tu jak domownik.

Zapadał zmrok, toteż zapalił dwie staroświeckie lampy z karbowanymi kloszami, wiszące pod sufitem. Teraz wlewał wrzątek do starego porcelanowego czajniczka mamy w żółto-różowe różyczki. Wyglądał nad wyraz męsko w tej typowo kobiecej kuchni. A znalazł nawet włóczkowy ocieplacz, sitko, mleko i filizanki. I uśmiechał się do niej, chociaż w jego uśmiechu kryła się jakaś... bezradność. Zachwiała ona w Stevie jedyne uczucie, które ratowało ją w obecności Juliusa - gniew.

- Julius - rzekła bezradnie. - Jeżeli miałeś ważny powód, żeby tu przyjść, to mów od razu. A jeżeli nie, to wyjdź!

- Mleka?

Zlekceważyła go.

- Proszę cię... nie graj ze mną w słówka.

Dał spokój herbacie. Podeszedł do niej. Jeśli wydaje mu się, że mnie zwiedzie swoją gadką, to się bardzo myli, pomyślała.

- Stevie, ja w nic nie gram - oświadczył. - Dopiero dziś zrozumiałem, jak mylne wrażenie odniosłaś o moim związku z Irene.

- Ja...

- Czekaj! - Stał bardzo blisko, ale nie próbował jej dotykać. - Uważasz, że jestem ojcem jej dzieci, prawda? Że od lat coś nas łączy. Przyznała mi się dzisiaj, że świadomie stworzyła takie wrażenie w rozmowie z tobą przez telefon dwa tygodnie temu. Wiem, że nietrudno było się na to nabrać przy takiej bliskości jak nasza.

- Czyli sam przyznajesz...
- Niczego nie przyznaję - wybuchnął, odsuwając się gniewnie. - Pozwól mi dokończyć!
- N-no dobrze.
- Irene i ja od dwunastu lat prowadzimy wspólne badania.
- Tyle już wiem - odparła, ciężko wzdychając. - Chcesz powiedzieć, że tylko to was łączyło?
- Nie! - zaprzeczył. - Kochałem się w niej, a w każdym razie tak mi się zdawało, przez blisko siedem lat! Wiedziała o tym, ale ja byłem zanadto pochłonięty nauką, żeby sobie to uświadomić.
- Nie bardzo rozumiem.
- Stevie, ona od początku była żoną Gary'ego, bardzo zamożnego przedsiębiorcy i bardzo miłego człowieka. - Zniżył głos, jak gdyby zniecierpliwiała go złożoność tego, co ma do powiedzenia. - Kochała go, i kocha do dzisiaj. Niestety, uznała, że skoro trzyma go w garści, mnie też może wodzić na smyczy.
- Nie potrafię wyobrazić sobie ciebie na niczyjej smyczy
- wybuchła Stevie i zmrużyła oczy, pragnąc wyczytać dodatkowe komunikaty z jego twarzy.
- Zmieniłem się - przyznał. - Wtedy byłem typowym naukowcem, kompletnie pochłoniętym pracą. Nie miałem czasu rozwijać się w innych dziedzinach. Kobiety były dla mnie obcym gatunkiem. Nie miałem prywatnego życia. Doskonale dogadywałem się w pracy z Irene, która mimo swoich wad jest nadzwyczaj inteligentna. - Uśmiechnął się marcotnie. - Owinęła mnie sobie bez trudu wokół palca i trzymała przy sobie. Bo ona potrzebuje adoracji, wymaga oparcia. I ja jej to dawałem.
- Miałeś romans.
- Musiała to z siebie wyrzucić. Zastygł ze zdziwienia.

- Nie, Stevie! Nigdy w życiu! - Wreszcie jej dotknął, wziął ją w ramiona władczo, lecz czule. - Przede wszystkim, kiedy miałem dwadzieścia lat, wierzyłem w swojej naiwności, że ona zdradzi męża. Ale nigdy jej nie tknąłem, chociaż ona mnie dotykała. - I znów ten markotny uśmiech. - Rozpałała moje zmysły, a ja nie wiedziałem, że to podstęp. Potem stopniowo, sam nie wiem jak... dojrzałem. Straciłem rodziców. Dużo zastanawiałem się nad sobą. Mój stosunek do Irene się zmienił.

Tulił już teraz jawnie Stevie, a ona słuchała tylko i napałała się jego dotykiem, ciepłem, zapachem...

- Nadal żywiłem szacunek dla jej umysłu i jej badań - ciągnął. - Tak jak do tej pory. Ale zakwestionowałem użytek, jaki robię z własnego życia. Zrozumiałem, że nie jestem szczęśliwy. Każdą chwilę spędzałem na uczelni, a wieczorem wracałem do swojego koszmarnego mieszkania, które Irene słusznie wyśmiewała.

- Wyśmiewała?

- Zagraconego, ohydneho, nieurządzonego, zawałonego książkami i papierami, z wiecznie pustą lodówką. Wtedy nawet mi to nie przeszkadzało. Zanadto byłem zajęty pracą, a swoje potrzeby emocjonalne realizowałem, marząc o niedosiężnej dla siebie i nie pasującej do mnie kobiecie. Zrozumiałem to jakieś trzy lata temu.

- Irene odeszła od męża...

- Nie! Postanowiłem wycofać się z badań, wrócić do medycyny klinicznej i do własnych korzeni. Zrobiłem odpowiadni kurs i zostałem lekarzem rodzinnym. Resztę znasz. Sęk w tym, że miałem rozgrzebane badania z Irene. Nie mogłem ich zostawić. Nie mogłem się doczekać ich zakończenia.

Irene kazała mi się nie przejmować badaniami, lecz iść za

głosem serca. Pod tym względem była bardzo wielkoduszna. Chciała tylko, jak wtedy twierdziła, żebym pomógł jej ostatecznie podsumować te badania w kilku artykułach, zrobić pewne obliczenia statystyczne na komputerze, rzucić okiem na szkice artykułów, które napisze. Gdybym się wycofał, wzięłaby lwią część zaszczytów na siebie, chociaż to pewnie nie jedyny powód. Bo nie, jest zła z natury.

Ale wtedy, w ostatnie święta, jej małżeństwo z Garym zaczęło się rozpadać. Nie wiedziałem dlaczego, dopóki z nim nie porozmawiałem. Kiedy wyjechał do Perth, ona miała romans z jego nowym asystentem. Ujmując rzecz cynicznie, musiała faceta po prostu uwieść. - Uśmiechnął się drwiąco. - Ale związek nie wytrzymał próby czasu, straciła asystenta, Gary się dowiedział, a to zasadniczy człowiek, choć bardzo kocha Irene. Bardzo mu to dopiekło, a ponieważ robił właśnie w Perth duży projekt, skorzystał z okazji i tak doszło do ich separacji.

- A w perspektywie rozwód? Bo chyba Irene do niego dąży?

- Wcale nie. Przeciwnie. Ale zrozumiała to dopiero po wielu miesiącach. Chciałem jej to wytłumaczyć tamtej nocy, kiedy odstawiła cyrk z prozkami.

- Przypominam sobie. - Stevie pokiwała głową. - Powiedziałaś, że powinna serwować takie sceny Gary'emu, a nie tobie. W ogóle tego nie rozumiałam.

- Na szczęście miałem rację. Wiem, że Gary jest gotów jeszcze raz jej wybaczyć. I dzisiaj wraca z Perth. Szkołu w tym, że Irene obleciał strach i zwróciła się do mnie... częściowo dlatego, że traktuje mnie tak od lat, a częściowo dlatego, że w tym stanie nie mogła się skupić na pracy.

Urwał i westchnął, a Stevie przejechała ręką po jego włosach. Odwrócił się do niej i dodał:

- Nienawidziłem się za to, ale nie umiałem znaleźć wyjścia. Badania wydawały mi się zbyt ważne, żeby zrezygnować z nich przed metą. Nie chciałem nikogo zawieść. Ani Gary'ego czy dzieci. Znam je od urodzenia, jestem nawet ojcem chrzestnym Kyle'a.

- A dlaczego nie powiedziałeś mi tego od początku?

- Powiniem być - odparł. - Zrozumiałem to aż do bólu, kiedy zobaczyłem cię na scenie podczas zabawy szkolnej Lauren. Dlaczego? Chyba się wstydzilem.

- Wstydzileś? Czego? Że tak heroicznie jej pomagasz? Chyba widzisz, że rozumiałabym, gdybyś nie wprowadził mnie w błąd!

- Nie mogłem się pogodzić z własnym oszukiwaniem się przez tyle lat. Nie sądziłem, że pojmiesz i wybaczysz cały mój złożony związek z Irene.

- Czemu?

- Czemu? - spytał. - Stevie, jak mogłem oczekiwać od swojej nowej, cudownej kochanki, że zrozumie, iż nie jestem zainteresowany kobietą, która tak beczelnie usiłuje wciągnąć mnie do łóżka, a z którą spędzam tyle czasu, grając niekiedy rolę ojca jej dzieci pod nieobecność jej męża? Ale myliłem się. Powiniem być zdobyć się na szczerość.

- Owszem - przyznała cicho.

Umilkł i znów zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Stał do niej tyłem, a mimo to usłyszała wyraźnie jego pytanie:

- Już za późno? Nie wybaczysz mi tego błędu?

- Daj spokój! Nie mogę sobie wybaczyć własnego! - odrzekła łamiącym się głosem. - Przyznaję, że się myliłeś, ale to ludzka przypadłość. A ja myliłam się w dwójnasób, kiedy udawałam, że wiem, co się dzieje i nie pozwoliłam ci wyjaśnić. Powinnam była cię wysłuchać, zaufać ci.

- A ja sądziłem, że wszystko wiesz - powiedział. - Mówiłaś, że rozmawiałaś z Irene.

- Powiedziała, że jest twoją partnerką.

- Z premedytacją wykorzystwała dwuznaczność tego określenia...

- No właśnie, a moja bujna wyobraźnia dośpiewała sobie resztę.

- Rzeczywiście masz bujną wyobraźnię. - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Kocham cię, Stevie. I wiesz, co te słowa znaczą teraz, choć ja nie wiedziałem, kiedy tak naiwnie zadurzyłem się w Irene. Proszę cię, powiedz mi, że zdołamy to pokonać!

Jakże pragnęła uchwycić się tej jego przejmującej prośby, ale postanowiła go jeszcze chwilę przetrzymać.

- W jakim celu, Julius? - Wiedziała, czego chce. Tylko jedno mogło ją zadowolić po tylu tygodniach wahań i cierpienia, ale chciała to usłyszeć od niego. I wciąż umierała ze strachu, że może tego nie usłyszy.

Zapadło milczenie, a dzieląca ich przestrzeń - choć w rzeczywistości był to zaledwie krok - wydawała się nie do przebycia. Ale Stevie jeszcze nie drgnęła. Wreszcie, nie odrywając oczu od jej twarzy, Julius powiedział:

- Bo chcę się z tobą ożenić. Zapragnąłem tego już pierwszego wieczoru spędzonego razem, a może jeszcze wcześniej. Chcę, żebyśmy ślubowali sobie zaufanie, złożyli publiczną przysięgę, połączyli nasze życie. Chcę, żebyś... żebyśmy. .. ale jeśli się nie zgadzasz... - Urwał i pokręcił głową, jakby nawet nie dopuszczał tak tragicznej dla siebie myśli. Na szczęście nie musiał.

- Zgadzam się - szepnęła. - Z całego serca. Na zawsze. Gdybym tego wobec ciebie nie czuła, nie zraniłoby mnie tak bardzo to, co działo się między tobą a Irene. A po-

nieważ było to dla mnie bardzo ważne, odtrącałam cię, bo nie potrafiłam sobie poradzić z własnymi uczuciami. Przekonuje cię to?

- W pełni, kochanie - zapewnił ją, po czym wziął ją ufnie w ramiona i dodał: - Chyba nie będziemy mieli większych trudności z przekonywaniem się nawzajem...

A sądząc po tym pocałunku, długim, przejmującym, zmysłowym, można mu było wierzyć.

RS